

# ODRODZENIE

## TYGODNIK

Rok II

Kraków, dnia 2 grudnia 1945 r.

Nr. 53

KAZIMIERZ WYKA

### ŻYWOTNE TRADYCJE PROZY POLSKIEJ



WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT



BOLESŁAW PRUS



STEFAN ŻEROMSKI

20 listopada 1925 r. zmarł Stefan Żeromski. 4 grudnia tego samego roku Władysław Reymont. Lat temu 20. W sierpniu br. minęło 100 lat od dnia urodzin Bolesława Prusa. W tych trzech nazwiskach — Prus, Żeromski, Reymont — mieści się bodaj połowa żywotnych tradycji prozy polskiej, żywotnych, a więc tych, które nie tylko istnieją dla historyków literatury, lecz tych, które głęboko zapisały się w umysłowości i uczuciowości społeczeństwa polskiego. Dużo jeszcze podobnych nazwisk można wymienić? Orzeszkowa, Sienkiewicz...

Dlatego, kiedy daty rocznicowe ku temu skłaniają, jest pora zastanowić się nad tradycjami prozy polskiej umiejscowionymi w tych trzech nazwiskach. Zastanowić się, spróbować odpowiedzieć, jakie miejsce Prus, Żeromski i Reymont zajmują nie tylko w tradycjach, ale w żywych postulatach i pragnieniach obecnej prozy.

Istnieje w filologii pojęcie noszące nazwę **terminus a quo**, data najwcześniejsza. Jeżeli niewiadomy jest dokładny czas powstania jakiegoś utworu, wówczas bądź na podstawie korespondencji, bądź na podstawie faktów zawartych w tekście utworu można ustalić w przybliżeniu rok, po którym dopiero dany utwór mógł zostać napisany. Otóż obchodząca nas trójca nazwisk pozwala ustalić przede wszystkim pewien **terminus a quo** ogólnej, żywotnej tradycji prozy polskiej. Prościej: pozwala odpowiedzieć, jakie najdawniejsze dziesięciolecie ubiegłego wieku wydało powieści, po które dzisiejszy czytelnik sięga jako po dzieła interesujące go, powstałe w warunkach narodowych i społecznych nadal go żywo obchodzących.

Sądzę, że tym dziesięcioleciem są dopiero lata 1870—1880. Lata zatem, kiedy pisarze generacji pozytywistycznej dają swoje pierwsze dojrzałe nowele i powieści. „Szkice węglem”, „Hania”, „Stary sługa” Sienkiewicza, „Przygoda Stasia”, „Anielka” Prusa, „Eli Makower”, „Meir Ezofowicz” Orzeszkowej, by wymienić dla przykładu te pozycje. Przed rokiem 1870 znajdzie się zapewne u nas niejedna powieść, która nie straciła dzisiaj swej żywotności, ale czujemy intuicyjnie, że powieści wcześniejszych dziesięcioleci wymagają albo sztuki rozeznawania się w przywydłych smaczkach, by w nich zagustować (np. Szyrmer, Żmichowska), albo też odpowiedniego sosu, by nabrały właściwości szukanych przez obecnego czytelnika. Wymagają tego nawet wówczas, kiedy artystycznie są całkowicie „na poziomie”, ba, wybiegają przed swój czas — przykładem Żmichowska. Nie artyzm zatem odgrywa rolę decydującą w tym zjawisku.

Co te fakty oznaczają? Niewątpliwie gdzieś w tym dziesięcioleciu proza polska z nurtu, który dla swojej dostępności czytelniczej domaga się specjalnych — a często zawodnych — zabiegów historyczno-literackich, z takiego nurtu przechodzi w nurt, który nawet nie pielęgnowany, dziko sobie płynący, żywi i interesuje czytelnika. Powiedzieliśmy, że powody nie są zawarte w wartości artystycznej. Równocześnie z pierwszymi powieściami Orzeszkowej powstają takie utwory Kraszewskiego, jak „Ostatnie chwile księcia wojewody”, „Z dziennika starego dziada”, i są to opowiadania należące do najlepszych w naszym piśmiennictwie, a przecież mało, kto o nich pamięta. Powody są zatem inne.

Proza jest gatunkiem najbardziej związanym z ciągłością życia społecznego. Związanym w tym rozumieniu, że proza nie dla swojej wartości czysto uczuciowej czy artystycznej staje się dostępna dla następnych pokoleń. Staje się dostępna przede wszystkim dla pewnych wartości poznawczych. Wtedy jest żywotna, kiedy czytelnik poprzez przynależność do przedmiotu pragnie jeszcze poznać przedstawię w nich warunki życia. Pragnie zaś poznać, kiedy czuje się z nimi związany, jeżeli nie bezpośrednio, to tak, że rozwój, który doprowadził do współczesnych mu stosunków, jest dla niego rozwojem ważnym i interesującym. W tym sensie proza przekazuje i kontynuuje treści społeczne silniej niż jakikolwiek inny gatunek literacki. W tym to wreszcie sensie proza jest gatunkiem poznawczym, a przy procesie poznawania tylko dla specjalisty ciekawą bywa instrument służący poznawaniu. Czytelnika obchodzą mieszczące się w nim treści i czytelnik się nie myli.

Stary (i mądry) Tomasz Jeż omawiając „Lalkę” Prusa napisał takie zdania: „Powieść zajmuje stanowisko na rubieży rozgraniczającej zakres sztuk pięknych od zakresu naukowego. Wychodzi z jednego, wkracza w drugi, czerpiąc stąd fantazje władającą w muzyce, malarstwie i rzeźbie przeważnie, jeżeli nie bezpodzielnie, — z owad racjonalność, będąca podstawą naukowych prac. Jest to więc wyległy na drodze ewolucyjnej rodzaj piśmiennictwa fantastyczno-racjonalny, nadobny i naukowy, wynikły z potrzeby, na którą złożyły się z jednej strony poczucie estetyczne, z drugiej dążność do odkrycia prawdy w rozlicznych kierunkach, w jakich się dążność owa objawia w danym momencie i w danym człowieczym środowisku”.

Treści obyczajowe i społeczne, których bezpośredni lub dialektyczny związek ze współczesnością czytelnik odczuwa, rozpoczynają się w naszym kraju dopiero po 1863 roku. Zniesienie dopiero wówczas pańszczyzny na najrozleglejszym, terytorialnie obszarze Pol-

ski, powstanie na tym samym terenie przemysłu i proletariatu miejskiego, ten zapóźniony skok cywilizacyjny sprawia, że dopiero wówczas wylania się układ klas i układ treści obyczajowych, które bez gwałtowniejszych przeskoków — mimo odzyskania niepodległości — przetrwały aż do ostatniej wojny. I dlatego to prawdziwa proza pojawia się na terytorium objętym tymi przemianami. Ojczyzną żywotnej prozy jest u nas zawsze Królestwo Kongresowe. Prus, Żeromski, Reymont to kongresowiacy. Prozaicy z innych dzielnic, to wyjątki. I dlatego wreszcie dopiero w tym dziesięcioleciu, kiedy wstrząśnięta powstaniem i uwłaszczeniem szlachty odpywa częściowo do miast, by zasilić powstające mieszczaństwo, kiedy chłop przechodzi do fabryki, kiedy — by na moment czysto ideologicznie zwrócić uwagę — dzięki propagandzie pozytywizmu tworzy się umiejętność świadomej autoobserwacji socjologicznej, dopiero wówczas powstają treści, których związek ze współczesnymi mu formami życia czytelnik dzisiejszy odczuwa, pragnie poznać, bądź odcyfrować, o ile są odmiennie. Dopiero wówczas powstaje żywotna tradycja prozy polskiej.

O wymowie tego **terminus a quo** jeszcze słowo. Korzenie naszej prozy są znacznie płytsze w czasie, aniżeli na zachodzie Europy. Kiedy we Francji już dziesięciolecia 1820—1840 przynoszą prozę, jaka nawet dla czytelnika polskiego nie jest zbyt historyczno-literackim, u nas dzieje się to o pół wieku później. Bo tam już wówczas gotowe są te same treści społeczne i obyczajowe, które w Polsce rozwijają się dopiero w pokoleniu pozytywistów. Czyli po prostu ta sama przyczyna jest bardziej cofnięta w czasie. Korzenie naszej prozy bliższe są okresowi powstania wielkiej prozy rosyjskiej. Królestwo Kongresowe było przecież częścią Rosji carskiej i towarzyszyło rytmowi jej przemian społecznych.

#### II

Prus dojrzał długo. Dojrzał tak długo, jak jest dla prozaika konieczne, by jego dzieła nie były jednorazową i już nie dającą się powtórzyć erupeją. Przykładem takim będzie Reymont. Główne powieści Prusa powstają pomiędzy 1885 a 1895 rokiem — „Lalka”, „Emancypantki”, „Faraon”. Powstają wówczas, kiedy modernści rzucają pierwsze skargi na nikłość dorobku poprzedniego pokolenia, skargi jakżeż blahe w obliczu tych trzech najznakomitszych powieści polskich. Dojrzawszy, w tych trzech powieściach wypowiedział Prus całe swoje doświadczenie ludzkie i artystyczne i do roku 1912, roku śmierci, nie napisał utworów równych nawet tym, które poprzedziły główne lata jego wydajności.

Ale nie tylko to powolne u rasowego prozaika dochodzenie do dojrzałego wyrazu jest powodem, dla którego tak późno, niewiele więcej nad pół wieku temu, proza polska wchodzi pod piórem Prusa w fazę całkowicie nam bliską. Pozytywizm polski otworzył szeroką bramę przed powieścią. Powieść była gatunkiem, który jedynie się nadawał do artystycznego opracowania hasła tego prądu. Ale pozytywizm dokonał czegoś więcej. Ponieważ w dziedzinie poezji, tej, która najbardziej waży w polskiej świadomości kulturalnej, od czasu romantyzmu wiedzie się żywotny, nie historykom literatury, ale każdemu dostępnym wątek artystyczny i ideowy, żyjemy w złudzeniu, jakoby wogóle pierwiastki romantyczne i irracjonalne posiadały przewagę w literaturze polskiej. Naprawdę złudzenie.

Literatura polska była zawsze bardzo praktyczna, szczególnie przed romantyzmem, kiedy przewaga celów doraźnych i życiowych tłumiała w niej często artyzm. Pozytywiści tym stałym tendencjom naszego piśmiennictwa mogli nadać nowy kształt, taki, by i prawda życia polskiego została odtworzona i wymagania artyzmu zostały zaspokojone. Nie od razu się to powiodło. W swojej pierwszej fazie pozytywiści jeszcze mocniej niż kiedykolwiek dotąd bywało pokrzywdzili artyzm na rzecz tendencji. Było to wówczas, kiedy — „tendencja pisarska śpiewała kantatę na cześć inżyniera i oświetlała jego postać ogniami bengalskimi” (Żeromski). Wskazana zgoda udala się najbardziej pod piórem dojrzałego Prusa.

Pozytywiści jednakowoż nie umieli, zwłaszcza w swoich pierwszych utworach (najczęściej działo się to u Orzeszkowej), rozwiązać stosunku tendencji do formy. Propagowali, nie odtwarzali. Prus natomiast swoje główne powieści pisze wówczas, kiedy propaganda myślowa pozytywizmu zrobiła swoje, kiedy dążności tego prądu z nakazów teoretycznych stały się **problemami społecznymi o już widocznym skutkach**. „Przełomowa zasługa Prusa jako powieściopisarza obyczajowego” — dobrze to ujmuje w „Losach romansu” Baczynski — „polega na zużytkowaniu **tendencji w postaci motywu powieściowego**, nie zaś szablonu, konstrukcji, czy też moralu”. Pomawia się Prusa o utajone dążności romantyczne. Niewątpliwie istniały one, ale nie temu „Lalka” zawdzięcza swoją wagę artystyczną, że jakiś Wokulski okazuje się w końcu nadpęknietym i romantyzującym snobem. Zawdzięcza ją temu, że Prus bystrzej i sprawliwiej wobec świata aniżeli Orzeszkowa zrozumiał, że tendencja również jest tylko tematem, że hasła również zapisują się w życiu realnym i przekrzywiają w jego warunkach. Zrozumiał, że ten hasłom i tendencjom lepiej służy, kto wniesie do nich tę poprawkę we-

dług rzeczywistości, a nie ten, kto uda, że jej nie było, skoro on jej nie dostrzega.

W swoich głównych powieściach obyczajowych Prus wniósł tę poprawkę w jej całym, przez prawdziwy realizm wymagany rozmarze. „Emancypantki” to nie powieść propagująca feminizm i emancypację kobiet, lecz książka mądrze i spostrzegawczo rejestrująca ich istnienie i obserwująca skutki. „Lalka” to nie „Ostatni z Siekierzyńskich” Kraszewskiego, przesunięty o parędziesiąt lat, zalecający wystawać za kantorem kupieckim, ale powieść rejestrująca, kto to uczynił i dlaczego w polskich warunkach, przy chimerycznych polskich charakterach, tak niewiele z zawołań wychodzi. Tego rodzaju przesunięcie możliwe było tylko pośród prądu literackiego, który się nie lękał nieartytycznej przesady, byle pokierować rzeczywistością w sposób postępowy i rozumny. Wielu błędziło. Prus był trochę jak ten ogrodnik, który swój sad dobrze poprowadził, ale najpierw sąsiedzi nana-arowali drzewek, by on mógł podglądać ich błędy. O tych pozornie zamarnowanych drzewkach musi się pamiętać, one bowiem stanowiły cenę za sztukę Prusa. Bez nich, bez pracy myśli nie liczącej się, czy zdoła przyozdobić się artystycznie, nie było by kogo obserwować. Nie handlowałby Wokulski, pani Latter nie prowadziłyby pensji.

Gdyby powieść mogła posiadać swoją estetykę normatywną i gdyby na podstawie wybranej powieści polskiej estetykę taką miał ktoś napisać, sądził, że za cały materiał mogłaby mu starczyć „Lalka”. Głównym prawdziwym powieści wydaje się bowiem równowaga elementów artystycznych z roztopionym w niej, nigdzie niewypowiedzianym wprost akcentem osobistym. Powiedzenie Zoli o tym, że powieść jest to wycinek natury widziany poprzez indywidualny temperament, jest niesłuszne. Wywodzi się z naiwnego, naturalistycznego przesądu, że wystarczy obserwować, by powstało dzieło sztuki. Istota sprawy zawiera się w umiejętności stworzenia zrównoważonego świata zastępczego, świata, którego składniki pochodzą przeważnie z wysiłku formalnego, pochodzą z panowania nad nieskoordynowanym, wyimykającym się nazwie, chaotycznym materiałem rzeczywistości. Dobra forma jest warunkiem prawdy. Sztuka jest rzeczywistością widzianą przez formę. W powieści zaś dobra forma to ta najbardziej zrównoważona, najbardziej przeto niedostrzegalna, najbardziej z pozorów oczywista — dlatego oczywista, bo nie wysterczająca w którymś ze swoich składników.

Tak jest z „Lalką”, tak w bardziej powikłanym sposobie z „Emancypantkami”, tak na planie powieści historycznej z „Faraonem”. (Powieść stanowczo niedoceniona, najlepsza historyczna powieść polska — dowody nie zmieszczą się w jednym artykule). O „Lalce” też możemy powtórzyć dzisiaj bez zmian sąd wygłoszony w 1891 roku przez Jeża: „Powieść ta przedstawia się jako skupienie wszystkich cech charakterystycznych powieści naszą współczesną i nadających jej odrębne w literaturze powszechnej stanowisko. Jest ona analityczną na wzór i podobieństwo francuskiej; analiza w niej atoli nie idzie w próżnię pozwalającą czytelnikowi wyciągać wnioski, jakie mu się podoba, lecz podaje ku celowi, który na widoku mając autor grupuje wypadki, wchodzące do akcji powieściowej. Wytknięty cel ukuty jest z materiału zasadniczego, stanowiącego doktrynę, znaną u nas pod nazwą „pracy organicznej”. Odnosi się ona do życiowych społeczeństwa warunków, odmiennych aniżeli w krajach innych”.

Powieść europejska — widzimy to dzisiaj z perspektywy — swoją najbardziej klasyczną, zrównoważoną dojrzałość osiągnęła w drugiej połowie XIX wieku. Pod koniec tej połowy osiąga ją również w Polsce pod piórem Orzeszkowej, Prusa, Sienkiewicza. Przymierzony do wielkiej powieści europejskiej — Prus wydaje się jej najbliższy.

### III

Pechem Żeromskiego było to, że pisał w okresie literackim, w którym mógł w całej pełni rozwinąć swoją osobowość nie poddając jej żadnym rygorom odmiennym od tych, jakich się domagała. Ten paradoks jest tylko pozorny. Dokładna obserwacja rozwoju Żeromskiego wskazuje, że późny jego twórczość pozostaje w ramach prózy zdolnej do odzicia w każdej epoce, póki Żeromski — nie jest sobą. Lub wtedy, w późniejszej twórczości, kiedy z tych czy innych powodów, mało jest sobą. Póki Żeromski pisze jeszcze pod silnym działaniem późnego pozytywizmu, póki swoje wzruszenia niepojęte, patetyczne i rozległe filtruje przez obserwację możliwie dokładną, przez opis możliwie zwięzły, póki tylko sugeruje i napomyka swój stosunek uczuciowy do tematu, późny jego utwory są żywe i dzisiaj dostępne. Na myśl mam pierwsze dziesięciolecie jego pisarstwa, tomy „Rozdziału nas kruków, wrony”, „Opowiadania”, „Utwory powieściowe”, z powieści „Szyfrowe prace”. Na myśl mam dalej, jeżeli chodzi o poszczególne późniejsze utwory, „Echa leśne”, „Wierna rzeka”, niektóre partie „Wiatru od morza” i mimo wszystko „Uciekła mi przepióreczka”. Kiedy zaś Żeromski zostaje naprawdę sobą, kiedy konstrukcja powieści, budowa postaci powieściowej, stają się dla niego tylko pretekstem i kanwą do nieskończonych dywagacji wzruszeniowych, wówczas to proza jego staje się mało czytelna. To, na-

własem mówiąc, również uwaga dla tych zwolenników osobowości artystycznej, którzy są przekonani, że wystarczy być sobą, żeby automatycznie osiągać nieskazitelny artystyczny.

Żeromski wyszedł ze szkoły pozytywizmu tak we względzie artystycznym, jak ideologicznym. „Na zebraniach studenckich Prusa uczył się kanonów nowej wiary bohaterzy Żeromskiego” — podał tę formułę jeden z zapomnianych a przenikliwych krytyków Żeromskiego, Ż. Grotowski („Problem społeczny w powieści polskiej”, Biblioteka Warszawska, 1908). W ogóle związki pomiędzy „Młodą Polską” a pozytywizmem są znacznie ściślejsze niż się sądzi, biorąc dosłownie huczące manifesty modernistów. W wielu wypadkach dobrze przetrawiony pozytywizm jest główną gwarancją wartości artystycznej dzieła, zaś źle przeżuty i niezrozumiany powodem rozstroju tak artystycznego jak ideowego. Dowody przy innej sposobności.

Młody Żeromski miał się w pierwszej części tego zdania. Tendencyjność społeczna pisarza jest rodem z atmosfery pozytywistycznej. Z tej samej atmosfery wywodzi się jego wczesny realizm. Zarazem wywodzi się z najbardziej wypracowanych kanonów realizmu zachodnio-europejskiego, z wzorów noweli francuskiej i rosyjskiej. „Doktor Piotr”, „Siłaczka”, „O żołnierzu tułacz”, „Zmierch” — jest w tych utworach Żeromskiego pełnia ideowej i psychologicznej prawdy, a zarazem, chociaż nierozprowadzony w tysiącu lirycznych szczegółów, stosunek pisarza do tematu narzuca się z całą trafnością.

Wtedy to można było sądzić, iż Żeromski pójdzie po drodze, która, być może, ograniczała jego gwałtowną wzruszenność, ale nie kazała jej wyhkić artystycznych. „Talent Żeromskiego nie lubi rozlewania się płytką warstwą na wielkie obszary; jest on pogłębiającym raczej najmniejszą sferę swych badań, ograniczającym świadomie sam siebie w manifestowaniu się pospieszonym na zewnątrz. Reprezentuje on u nas te — prawdziwie wielką i poświęcającą się, „trudną” sztukę Flauberta, Goncourtów itp., taka, która się powściąga w beładnych wybuchach sił twórczych, wysila się, doskonali wciąż i skupia na jednym”.

Tak napisał w roku 1896 Wł. Jabłonowski o „Opowiadaniach”. Tymczasem w najbliższych utworach talent Żeromskiego zaczął się właśnie rozlewać na szerokie obszary, przestał się powściągać w beładnych wybuchach i tym — zwyciężył w oczach współczesnych, temu zawdzięcza swoje wyjątkowe w przekonaniami stanowisko. Cor cordium. I tak już pozostało do końca twórczości Żeromskiego. Adamczewski usiłuje wprowadzić dowód (rozdział „Ujarmienie żywiołu” w „Sercu nienasyconym”), że z tej drogi Żeromski nawrócił, ale dowód to byłby przekonywujący, gdyby go poparło choć nieco utworów takich, jak te z „Opowiadań”. Podobnie zrównoważonej i zwartej grupy Żeromski nigdy już nie napisał.

Stało się tak, ponieważ Żeromski uległ sobie, a przede wszystkim uległ podszeptom epoki, nakazującym bezwzględną wierność swojemu ja lirycznemu, widzianym dowód piękna w obnażonych różnicach wzruszeń. „Każdy przejaw duszy jest dla nas czystym, świętym, głębią i tajemnicą, skoro jest pożyteczny”. To pisał Przybyszewski. W to wierzy cała dojrzała twórczość Żeromskiego. W tym sensie powiedziałem, że pechem Żeromskiego było, iż tworzył w epoce, kiedy mógł być sobą. I oddał, od „Ludzi bezdomnych” i „Płotów” przestaje istnieć w prozie Żeromskiego jakakolwiek równowaga epicka i kompozycyjna, jakkolwiek panowanie nad materiałem wzruszeń i rzeczywistości.

Cechą Prusa jest to, że najszerze i najbardziej zamierzone kompozycje powieściowe są obiektywnie najlepsze w jego dorobku. Cechą Żeromskiego jest to, że im bardziej zamierzona subiektywnie i ważka dla pisarza jest wielka kompozycja powieściowa, tym liczniejsze wątpliwości budzi w dzisiejszym czytelniku. Im bowiem rozleglejsza jego powieść, tym bardziej się w niej wylaniają pewne fundamentalne właściwości sztuki Żeromskiego, które tylko w ramach przychylnego tym właściwościom stylu mogły być przyjmowane chętnie i pozytywnie. W ramach stylu lirycznego i rozległego, rozległego również w tym sensie, że nie umiającej ograniczyć swoich postulatów do zakresu, gdzie są one najmniej szkodliwe, ale rozlewającego je na wszystkie gatunki literackie.

Tym właściwością jest na imię: problem opisu, w dalszej konsekwencji problem krajobrazu, natury i stylizacji słownej, bo ostatecznie wszelki opis jest sprawą takiej stylizacji. Po wtóre, problem stosunku wzruszeniowego do tematu i postaci, a w związku z tym sprawa, jakiego pochodzenia winna być plazma psychologiczna, z której pisarz urabia swoje osoby. Wreszcie sprawa najważniejsza: konstrukcja czy wyraz. Przewaga wierności wobec prawdy, które udostępniają dzieło, czy wobec tych, które udostępniają jawnie samego tylko pisarza. Na wszystkie te zagadnienia Żeromski dał odpowiedzi absolutnie jednoznaczne i równie absolutnie związane z jednym z najbardziej niepewnych stylów literatury polskiej — stylem modernistycznym i symbolicznym.

Żeromski został uznany za mistrza krajobrazu, odczucia natury i mistrza słowa. W lirycznym opisie krajobrazu nie można pójść dalej niż on — Żeromski wszystko wys-

sał z tego motywu i pozostawił pustą kość. Chociaż zachwyty nad tą stroną jego sztuki są historycznie, na tle jego poprzedników, słuszne, należy pamiętać, iż Żeromski doprowadził do niesamowitej wybujałości jedną z najbardziej dziwacznych, najbardziej ahumanistycznych i tylko u nas rozrosniętych aż do tego rozmiaru gałęzi sztuki literackiej. Ten przerost opisu, na który tylekroć i jakże słusznie zżymał się Norwid, jest jedną z mityfikacji artystycznych naszej literatury. Bo to niby obserwacja, niby dokładność widzenia, ale w istocie prowadzą one do werbalizmu. Sztuka prawdy staje się tylko sztuką odjęcia słownego. I dlatego ten sam Żeromski w stylizatorski, czysto zdobniczy sposób lubuje się w słowie, dlatego równym jest amatorem słownika Lindego, co — zielnika. Na tych obydwu dążnościach (krajobraz liryczny i stylizatorstwo słowne) twórczość jego położyła się niczym olbrzymia i niesamowita morena. Niesposób jej odrzucić, niesposób z takich głązów budować.

Wzruszenność Żeromskiego, ta ustawiczna pasja podawania czytelnikowi gotowych wniosków uczuciowych, jest właściwie — dydaktyczna. Nie pozostawia czasu na rozeznanie się w sytuacji, nie podaje dostatecznej ilości faktów, by rozeznanie mogło być pewne i obiektywne, ale wnioski daje przed faktami, a to jest przecież jedną z cech złej dydaktyki. Żeromski pisarzem dydaktycznym, tym, który czytelnika nie traktuje jako osoby dorosłej, który nie ufa jego sądowi i domysłom, jest nie tylko dlatego, że tyle uprawiał publicystyki i tak wiele nieprzetrawionej publicystyki włożył w powieści. Jest nim dlatego, że pragnie nauczać stosunku uczuciowego wszędzie, w każdej sytuacji a przede wszystkim wobec własnych postaci.

W budowie tych postaci, zwłaszcza najważniejszych, postępuje jak medium, które tylko z siebie wydobywa plazmę, cudzej plazmy wywabić nie potrafi i tylko z niej, z najbardziej egotycznej materii konstruuje ludzi rzekomo odrębnych. Istnieją niewątpliwie stopnie ich zależności, istnieją, jak Adamczewski to klasyfikuje „sobowtóry, media i partnerzy”, ale cała między nimi różnica ściąga się do — różnicy w szerokości rury łączącej te postacie z rezerwoarami psychicznymi pisarza. Przypominam nieprzede wszystkim słowa Irzykowskiego o tym, że każda z postaci Żeromskiego ma wybitą w duszy dziurę, w którą wstawiona została rura, łącząca ją bezpośrednio z duszą twórcy. Dydaktyczne wzruszenie Żeromskiego uczy zawsze i tylko jego samego. Nie uczy świata ludzi odrębnych, świata problemów istniejących bez względu na to, czy chcemy czy nie chcemy wzruszać się nimi chętnie.

Wreszcie konstrukcja prózy, najgłówniejszy niedostatek jego sztuki. Gdybyż jeszcze to niepisane prawo wieloznacznej równowagi, z jakiego powstaje prawdziwa proza; zostało naruszone na rzecz któregoś z klasycznych elementów powieści, na rzecz charakterów, na rzecz akcji! Tymczasem zostaje naruszone na rzecz składnika, który w prozie musi być najbardziej utajony, najmniej powiedziany, najwięcej poddany, który ma prawo emanować tylko z wielkiej całości, emanować wieloznacznie i nieokreślenie, a nie wyzierać z szczególnie poświęconych mu partii: liryzm wobec tematu. Częstokroć wyraz liryczny zamiast konstrukcji, dającej przytulność, w jej pełnej całości obecna sugestie. Gdyby według rozmiaru ustawił utwory Żeromskiego i zapytał, jak wysoko przebiega granica, do której umiał on doprowadzić konstrukcję jednolitą, ta granica przebiegać będzie na najwyższym poziomie w utworze tej objętości, co „Wierna rzeka”, — ale właściwie znacznie niżej.

Wielki pisarz, wielki w swoich błędach, budzący szacunek w swojej prawdzie duchowej — takim Żeromski pozostanie. Ale nie klasyk, nie wzór, nie pisarz, do którego sięga się po tradycję żywotną. Szczególnie dzisiaj dobitnie brzmi „nie”. Za błędy, które czynią całe style, odpowiadają później swymi dziełami pisarze. Nie to jest istotne, czy Żeromski najpierw się „przyczaił” realistycznie, a zdobywszy czekaną sławę nagle się odprężył i „stał się sobą”, czy też sztuka modernistyczna dopiero go osmieliła — nad tym się głowią będą historycy literatury. Ważny jest błąd całego stylu, za który płaci Żeromski: wszystko, na co modernizm pozwalał w powieści, co Żeromski wyzyskał, jest sprzeczne z tymi właściwościami prózy, które trwają niezależnie od tego czy owego stylu, które powieści zawsze nadają prawdę i doniosłość.

### IV

Takich wybuchów instynktownego talentu, jakim jest początek (zarazem szczyt) twórczości Reymonta, było wiele w literaturze międzywojennej. Właściwie Reymonta można by traktować jako przykład częstego, niestety, rozwoju polskich prozaików. Najpierw zapowiedź pisarza na dużą skalę, później — literat pisał książkę. Naturalnie, u Reymonta jest o wiele więcej aniżeli zapowiedź. Jego dorobek najbardziej żywotny, to niesamowita, nie posiadająca równej sobie eksplozja niezwykłego talentu, wywodząca się z instynktu i samorodnej obserwacji, nie z jakiegokolwiek szkoły czy kultury. „Komediantka” — 1896, „Fermenty” — 1897, „Ziemia obiecana” — 1899. W tym późniejszym następcie najlepszych powieści Reymonta jest ja-

kiś wulkaniczny wybuch, po którym znużony wulkan sili się na wstrząsy za skutecznością coraz mniejszą. Rozwój Reymonta powojny natchniał Orkan. „Komorników” i „W rozłokach” również napisał prozaik, który nie ukończył jeszcze lat trzydziestu.

Ten wybuch talentu jest naturalnie zjawiskiem całkiem indywidualnym. Oznacza on, że w twórczości Reymonta wszystko się opiera na instynkcie artystycznym, na niezależnym od naszej kontroli specjalnym ustroju wrażliwości zmysłowej. Opiera się na tej anegdotce, którą nam przekazano o nim: idąc ulicą i nie obserwując specjalnie, zatopiony w rozmowie, potrafił dokładnie opowiedzieć jakie sklepy wyminał, jak ubrane były osoby, które obok przeszły, co działo się równocześnie na dalszym planie ulicy. A równocześnie Reymont był chyba jedynym laureatem Nobla, który oprócz swojego rodzinnego języka nie znał żadnego innego. Jak świadczy Lorentowicz („Spojrzenie wstecz”), po wiele razy bawiąc w Paryżu po francusku nie nauczył się nawet czytać. Raz wzmówiwszy sobie, że nóż znaczy *le couteau*, powtarzał to stale. Sądzę, że pomiędzy tymi dwoma anegdotami zawarta jest cała, jak Francuzi mawiają, *grandeur et misère* Reymonta. Wielki z instynktu pisarz nie został nim nigdy z kultury.

Jeżeli do kogo z naszych znakomych prozaików można zastosować powiedzenie Stendhala, że pisarz to przechadzający się po gościńcu zwierciadło, to do Reymonta. Ten z fachu wyzwolony czeladnik krawiecki zwiedził wszystkie gościńce i ścieżki awansu społecznego, jakie za jego młodości były dostępne młodzieńcowi łapczywemu życia. Zwiedził je i odtworzył niczym jakiś egzotyczny kraj, który domaga się w swoim odtworzeniu jak najbardziej realnej namacalności, byśmy uwierzyli w jego istnienie. Tzw. życie realne znał na pewno lepiej niż Prus, z dziwaczniejszych i liczniejszych pieców chleb jadał, a przecież — przykład jego świadczy — zwierciadło odbija, ale zwierciadło nie nauczy mechanizmu życia współczesnego. Najwyżej ukaże je takim, jakie jedynie możliwe jest w odbiciu: w perspektywnym skrócie, ale nie w jego prawdzie, bo do prawdy potrzebna jest wiedza.

Wybuch talentu Reymonta jest bowiem zarazem wybuchem pewnych tendencji szerszych, a przed okresem „Młodej Polski” przytłumionych w naszej literaturze. Te dążności mam na myśli pisząc, że zwierciadło odbija, lecz nie naucza. W Polsce nie było naturalizmu literackiego, tego, jaki uprawiali Zola czy Maupassant. Współcześni im nasi pisarze pozytywistyczni są dosyć dalecy od naturalizmu. Zbyt wiele posiadają zadań realnych, by tylko obserwować, a z obserwacji wyciągać pesymistyczne wnioski. Dopiero równocześnie z pokoleniem „Młodej Polski” dojrzała w Polsce naturalizm. Posiada go w swojej sztuce Żeromski, pisze Zapolska, najmocniej zaś wystrzela pod piórem Reymonta. Ale jakżeż inny od francuskiego! Jakże daleki od ponurych obrazów Zoli, od zmysłowego znużenia Maupassanta. Wybuca naturalizm bardzo sarmacki i przez to jeszcze dalszy od rozumienia życia, od konstruowania życia: po prostu nienasycona łapczywość, chłonność obserwacji, ich pośpieszne wyrzucanie z siebie, jakas automatyczna żądza opisaną wszystkiego, co podpadnie pod zmysły. Fonograf, połączony ze zwierciadłem.

Sprawa przez to jest ważna, ponieważ od świadomego swoich celów realizmu powieści Prusa zdaje się być droga niedaleka do naturalizmu, jako rzekomo wyższego stopnia prawdy. Tymczasem naturalizm, przykład Reymonta zestawionego z Prusem, posiada tutaj pełną wymowę, nie jest wyższym stopniem prawdy. Bo do prawdy konieczna jest również wiedza konstruująca, a takiej wiedzy Reymont nie posiadał. Najbardziej o tym świadczy jego zupełny zawód w gatunku, gdzie sam instynkt i żywiołowość najmniej popłacają: w powieści historycznej. „Rok 1794” jest najbardziej martwą pozycją w dorobku Reymonta.

Stawę swoją zawdzięcza Reymont dziełu, które bynajmniej nie jest tak jednolite w wyrazie jak jego pierwsze powieści. „Chłopów” napisał prozaik, który zrozumiał, że w jego pokoleniu istnieją pewne wspólne kanony artystyczne i do tych kanonów spróbował siebie podciągnąć. Reymont był naturą zbyt prostolinijną w swojej żywiołowości, zbyt biernie i chętnie podejmującą wszystkie podniety, jakie rzeczywistość niesie, dla Reymonta nie istniały jeszcze problemy jego jaźni, bo ta cała była zwierciadłem, by mógł on podobnie jak Żeromski poprzez wzruszenie indywidualne, poprzez kult uczuć samotnych a bolesnych wciągnąć się we wspólne normy artystyczne „Młodej Polski”.

Dokonał zatem tego po drodze, znanej również Żeromskiemu, ale Żeromskiemu jako jedna z dróg, jemu — jako droga jedyna: stylizacji języka i opisu. „Chłopi” to materiał przyniesiony przez świętego obserwatora, który nie pyta o wnioski, przykrojony natomiast przez stylizatora, który usiłuje temu materiałowi nadać jakiś krój bardziej hierarchiczny i czyni to przede wszystkim za pomocą barokowych zabiegów słownych, czyni uroczystością i przewlekłością opisu czy sceny psychologicznej. I co najważniejsze, a tak bardzo utrudnia ocene „Chłopów”, większość epickiego zakroju powieści jest tutaj prze-

niesiona właśnie w ten świadomy zamiar stylizatorski, w nastrojowy komentarz słów. Komentarz stylistyczny, który dzisiaj na żywym mięszu tego dzieła chrząści jak zeschły i dziwny kwiat.

Najgorzej zaś, kiedy ten komentarz wdiera się w psychologię postaci i ma zastąpić przeżycia prostych ludzi. Reymont nigdy nie uprawiał analizy psychologicznej, pełnia zamiaru epickiego przynuszała, by jej choć trochę nie paskąpić. Jakżeż się zachowuje wewnętrznie (jeden z rozlicznych przykładów) Hanka zdradzona przez Antka? — „Jeno poplakała żalnością, lzy same się lały, tryskając z tych najgłębszych, utajonych smutków człowieczych, z samego dna serca rozdarte, z tego skrzybołu ginących bez ratunku: czasem zaś, ale rzadko, bo zapominała o wszystkim, modliła się, szepotała pacierze jęklowym głosem, ewierkała je w sobie porwanymi słowy, kiej ten płaszek marznący, któren tylko kiejsz niekiej zatrzepie skrzydłem, a że już mocy nijakiej nie ma, to przysiąda, tuli się, psiuika i wraz zapada w coraz głębszą senność“.

Dlatego „Chłopi“ są utworem wątpliwym. Naturalizm, kiedy go skrajnie i konsekwentnie pojąć, musi być pusty intelektualnie. Temperament, instynkt, to jego jedyna poprawka do rzeczywistości. Stylizatorstwo, wstawione na to miejsce, pustki również nie zapewnia. Reymont jako artysta rzadził się tylko instynktem. I podobnie jak przykład Żeromskiego, któremu właśnie pełna swoboda osobowości wykruszyła skrzydła, świadczy przeciwko wszechwładzemu tego pojęcia, tak przykład Reymonta mówi, że żywioł, instynkt, genialna samorodność to dosyć na wybuch, za mało na trwanie i — przetrwanie.

## V

Nie ma jakichś nawrotów bezpośrednich. Nie ma rozpoczynania od przerwanej miejscy, że to niby uchwycić tamten wątek, a już wszystko potoczy się samo. Tak i w naszym wypadku nie twierdzimy, że rozwój prozy polskiej został po Prusie zupełnie przekrzywiony i zbalamucony. Żeromski, jakkolwiek sama jego sztuka powieściowa jest dzisiaj wymaganiom bardzo daleka, szedł dalej aniżeli, Prus. Wyczuwał prądy społeczne i nakazy, na których zrozumienie już nie stało instrumentu dobroliwemu Prusowi. „Miejsce Wokulskiego, widzącego w solidarności społecznej przyszłość narodu, chce zająć Judym, poświęcający się dla szczęścia jednej tylko klasy — proletariatu“ (Grotowski). Reymont w brutalnym i ostrym chwycie obserwacyjnym obnażał szczegóły świata, wokół których Prus musiał długo i daremnie krążyć. Oceniając rozwój, wcale się go nie przekreśla.

Wniosek jest inny: mieści się w pytaniu, która z sytuacji ideologicznych, rozwiązanych przez tych trzech wielkich prozaików, jest nam względnie najbliższa, najbardziej podobna. Tym razem pytamy o żywotność inną, dotyczącą nie tylko czytelnika, ale obecnego pisarza polskiego. — Pytamy, która z odnog tego nurtu jest mu stosunkowo najbliższa. Nad Reymontem zatrzymać się można najkrócej. Postawa naturalistyczna jest najdalej od historii i humanizmu. Stworzone przez kulturę treści obserwuje niczym fakty naturalne, niezależne od człowieka. Wystarczy tak obserwować, by zdać się na instynkt, żywioł i dalsze ich, jeszcze bardziej irracjonalne wydania.

Sądzę, że sytuacja dzisiejsza jest najbardziej podobna do tej, którą zrozumiał Prus jako artysta, od której rozpoczął Żeromski. Ani potrzeba utrwalenia odrębności indywidualnej, ani skwapliwa służba wobec wszystkiego co liryczne i irracjonalnie różne, odcienne, ani też wdopywanie tendencji w oporną rzeczywistość — te dwa bieguny skrajne, oznaczające młodość i doktrynerski pozytywizm, nie zawierają się w tej sytuacji jako postulaty żywe. Istnieje natomiast wyraźny problem, ludzki i społeczny nakaz, odbudowa sensu historii i człowieka, nakaz, który tylko tak da się zrealizować artystycznie, jak to Prus pojął wobec hasła pozytywizmu. Zamiast tendencji — realny wygląd problemu.

W samych sprawach konstrukcji prozy nie ma wątpliwości. W dojrzałym piarstwie Prusa i we wczesnej twórczości Żeromskiego jest jakiś węzłowy zwornik prozy polskiej. Linia, po której poszedł później Żeromski, niewątpliwie jest chwytliwa, niewątpliwie się rozszczepia. I nie w tradycji stylowej „Młodej Poii“, ale tam, na przejściu dwóch pokoleń, artysty prozy polskiej stał najwyższe.

Kazimierz Wyka

W poprzednim (52) numerze „Odrodzenia“ z dnia 25 listopada: Tadeusz Boy-Zeleński: Mickiewicz. — Julian Przybóś: „Historia szlachecka“ czyli baśń. — Wacław Krzaczek: Tyrejski żywot i pieśń. — Paweł Horoszyński: Prawo a publicystyka. — Julia Hartwig: Do widzenia gorom. — Jalu Kurek: Drzewo dzieciństwa. — Włodzimierz Słobodnik: Śmierć Opatchan. — Eugeniusz Zieliński: Ługa. — Ksawery Pruszyński: Dzieje emigracji londyńskiej. Iranski odmarz. — Artur Sandauer: O postępowości w literaturze. — Henryk Bałowski: Wystawa obrazów. — Tadeusz Dobrowolski: „Zjednoczeni Słowianie“. — Tadeusz Dobrowolski: Wstawa obratowska. Przyjaciół Szuk. — Witold Ziembicki: Poważna praca naukowa. — M. H. Dąbrowska: Książka dla dzieci. — Józef Sieradzki: Główne lęzy nowej Polski. — Stanisław Plotrowski: O formie świeże, zdrowe i żywe. — Wilhelm Mach: Szlakiem żołnierskiego wzruszenia. — zb: Przeląd pracy. — js: Wracamy do sielanki. — Bień: Ten kot jest czarny. — Polska za granicą: js: W ZSR. — mp: W Anglii i Ameryce. — taj: Kwiaty na grób Laval. — tk: „Plomyk“ i Brzechwa. — bs: Jesteś smutny. — 1 ilustracja. — 8 stron.

KAZIMIERZ BRANDYS

## Dwie poezje

Pierwsze miesiące pokoju zapożnały nas z częścią dorobku kulturalnego emigracji polskiej na Zachodzie. Zza kanału La Manche, zza Oceanu zaczęli dopływać nie tylko ludzie, ale i pisma, książki i utwory. To, czego byliśmy tak spragnieni w latach okupacji, czego oczekiwaliśmy z niecierpliwością po zakończeniu wojny — piśmiennictwo uchodźstwa polskiego na zachodzie Europy i świata, — w ostatnich miesiącach stało się nam w znacznej mierze dostępne.

Literatura polska dzieliła w ciągu wojny losy trzech frontów walki z Niemcami; wiersz czy proza polska wtorowały działom we Flak-drii, na Ukrainie i opiewały podziemne zmagania o wolność w kraju. W groźne wieczory warszawskie, gdy warkot motoru za oknem wstrzymywał serce i krew, ileż poezji przechodziło z rąk do rąk i z ust do ust w mieszkaniach śródmieścia i przedmieść; poezji ze stron dalekich i bliskich, wierszy dyktowanych tęsknotą za krajem i za wolnością, piśnianych w Warszawie, w Londynie, w Moskwie, w Woldenbergu.

Te wiersze wzruszały nas. Nie mieliśmy wówczas zbyt gorliwych chęci krytycznych i myśl o analizie formalnej była nam na ogół dość obca w tych dniach, gdy w każdym słowie, które przedarło się do nas przez fronty, szukaliśmy pokrzepienia i nadziei. Wiersz o ulicy Kruczej napisany w Londynie, czy strofka o Starym Mieście skreślona pod Smoleńskiem, to było wiele w owych dniach, gdy róg Żorawiej nazajutrz mógł stać się polem bitwy, a placyk pod Arsenalem był nim istotnie wczoraj. Zwrotka o polskiej łące czy o polskim mieście, o pierwszych zburzonych domach lub o pierwszych ludziach, którzy padli w Warszawie czy pod Narvikiem, pobudzała w nas lzy. Plakaliśmy nad tymi wierszami, my, którzy po śmierci najbliższych potrafiliśmy odmawiać sobie łez. Tęsknota uchodźcza poruszała w nas własną; tęskniliśmy, pociągając rytmem ich nostalgii, za wolnością owych miast i wsi, które mieliśmy blisko, w których żyliśmy — ale żyliśmy w niewoli. Byliśmy w kraju, lecz tęskniliśmy za wolnością, tamci żyli w wolności, lecz tęsknili za krajem. Tęskniliśmy więc, oni i my, za jednym, za tym samym, mimo iż przedzieleni morzami.

Na którymś z licznych sympozjonów okupacyjnych w Warszawie ktoś mi się starał udowodnić, że rozkład geograficzno-polityczny literatury polskiej w czasie wojny dokonał się zgodnie z jej podziałem ideowo-formalnym. Lewicowa awangarda powędrowała na Wschód, passeiści i zachowawcy na Zachód, a w kraju pozostali patriotycznie usposobieni formalści i klasycy. Ten żart wziął niewątpliwie asumpt z faktu, że większość pisarzy lewicy społecznej istotnie szukała dróg do Polski na szlakach bojowych Armii Czerwonej; „Skamander“ zaś i grupa „Wiadomości Literackich“ w dużej części, przypadkiem lub świadomie, wybrały azyl w krajach zachodniej Europy, lub w państwach półkuli zachodniej. W kraju jednak pozostało środowisko pisarskie najtrudniejsze do określenia. Przybóś i Iwaszkiewicz, Miłosz i Dobrowolski, Dąbrowska i Nałkowska, czy Andrzejewski i Breza — któż mógłby tych pisarzy połączyć w kierunku formalne lub światopoglądowe nie narażając się na gromy i szyderstwa? Było to zgrupowanie bardziej przypadkowe niż obydwaj pozostałe, i tym trudniejsze do sklasyfikowania, złożone po prostu z ludzi, którzy nie mogli lub nie chcieli wyjeżdżać; którzy nie mogli albo nie chcieli z przyczyn duchowych czy praktycznych, którzy pierwsze dwa lata wojny spędzili za Bugiem i potem dopiero, po ofensywie niemieckiej na Wschód wrócili do kraju, albo inni, których żaden wstrząs wojenny od września 1939 r. nie zdołał skłonić do wędrówek.

Z tych trzech środowisk dochodziły nas utwory w ciągu długich lat wojny; przy czym ze względów zrozumiałych najbardziej wpływał materiał krajowy, a najbardziej skąpo korzystano z utworów pisarzy, od których dzielili ciągle ziemienny i ruchomy wał frontu wschodniego. Z tej strony częściej dobiegał odgłos dział niż słowo. Raczej echa słów: słyszano w Warszawie o utworach Wasilewskiej, Putramenta i Ważyka, o „Nowych Widnokregach“, słyszano o nich, lecz mało kto je czytał. Dopiero przez Lublin przybyły do kraju.

Produkcją tych trzech polskich centrów twórczych dysponujemy dziś w znacznych fragmentach. Możemy wysnuwać z niej wnioski krytyczne, ideologiczne i psychologiczne, możemy dzielić, bielić i czernić — dziś, gdy emocje okupacyjne nie przeszkadzają już chłodnej analizie. Mamy kraj i państwo, ujawnioną literaturę i sztukę, Tuwima. Przybóśa, Iwaszkiewicza i Putramenta pod ręką, w legalnym druku — pierwsza sposobność klasyfikacji kierunków, postaw i szkół.

Rzecz dla krytyka, nie dla profanów. Zadaniem tego szkicu nie będzie analiza krytyczna. Przed piszącym poniższe słowa leży parę książeczek, wydanych w polskim języku na emigracji zachodniej. Jest w nich wiele przyczyn do wzruszeń, namysłu i smutku. Ciśną się pod pióro po ich przeczytaniu słowa

żału i wzburzenia, słowa współczucia i troski. Fronty podzieliły ludzi nie tylko na zwycięskich i pokonanych. Za kanałem La Manche czas wojny płynął inaczej. Jej obraz ukazywał się odmiennie oczom nad Tamizą i oczom nad Wisłą. Rzeki, góry i morza podzieliły ludzi na mniej i więcej wiedzących, na niejednako cierpiących, na bogatych w nierówne doświadczenia.

Ludzie, którzy przeżyli Oświęcim, Pawiak lub ulicę warszawską w dzień powszedni, kiedy łapanka czyła za każdego węgla, którzy oswoili się z niebezpieczeństwem śmierci, nieomal jak z obawą gradu lub deszczu, którzy przeżyli ghetto i powstanie — nie prędko staną się zrozumiałi dla tych, co ani razu w ciągu sześciu lat nie spotkali wzroku Niemca spod stalowego hełmu i nie poczuli się przed nim bezbronni. Inaczej przeżyliśmy Polskę i Warszawę od tych, którzy tęsknili za nimi z Londynu i pragnęli je ujrzeć — nie tknięte wojną i czasem. Polska zmieniała się bowiem wraz z nami, cierpienia żłobiły nas wspólnie, wraz z nami cały kraj żeglował po niewidzialnych prądach przemian, coraz dalej odbijając od niedawnej przeszłości.

Nikt z nas nie pragnął jej powrotu. Nasza tęsknota była tęsknotą za wolnością, ale za wolnością w czasie przyszłym i nieuniknionym. Pragnęliśmy Polski wolnej; znaczyło to: wolnej od przemocy, niesprawiedliwości i wyzysku. Te trzy słowa nie zawsze jednakowo i nie wszędzie jednakowo się pojmuje.

Cierpienia zmieniały Polskę i nas, którym przyszło uczestniczyć w jej niewoli. Na zachód i wschód od niej żyło tysiące uchodźców, oddzielonych od kraju. Mieliśmy dwie emigracje, tęskniono za Polską na dwóch krańcach globu, na dwóch krańcach pisano o niej wiersze i byliśmy w prawie przypuszczając, że ludziom z obydwu krańców równie trudno będzie zrozumieć przemiany, które dokonały się w nas w czasie niewoli.

Lecz pomijając głębsze dociekania krytyczne i sympatie ideowe, czytelnika „Antologii poezji polskiej (1939—1945)“, wydanej ostatnio w Paryżu, musi uderzyć fakt, że na emigracji wschodniej kilka talentów poetyckich jak Putrament, Ważyk czy Huszcza rozwinęło wartości twórcze dużego formatu, na emigracji zachodniej natomiast zaszedł w pewnej mierze proces niejako odwrotny: poeci o skali Lechonia i Wierzyńskiego opadli w niżej twórcze, granicząc nieraz z płaskością. Dla marksizmu istnieje niedwuznaczna wymowa tego zestawienia dwóch środowisk ideowo-politycznych, krytyk formalista porzestabył zapewne na rozgraniczeniu kierunków poetyckich — ale każdy, najzwyczajniejszy czytelnik o tzw. „poziomie“, najdalej nawet od interpretacji socjalnej, czy krytycznej, musi wyciągnąć jakieś wnioski z oceny porównawczej Lechonia „Pieśni o Stefanie Starzyńskim“, w której pisze poeta, że: „to dziejów krater wciął tę samą wyrzucą romantyczną lawę i że to jeszcze jeden szalony bohater nieopatrzna, ulańska opętał Warszawę“, — z wierszem Adama Ważyka „Doświadczenie“, który kończy się następującą strofą: „Niech sobie w noc tę ktoś spalmy rzuca w łoskot ciemności, niech ręce składa, zastyga w pomnik w bronzach przeszłości, niech się ten drugi z losem wyklóca o udział mniejszy, — miły mi ten, kto głos wygromni o groń dzisiejszy“.

Z tego porównania, jednego z wielu możliwych, wypływają zapewne wnioski liczne i niejedna wiąże się z nim interpretacja. Ale żadna nie byłaby w możności pominąć czynnika tak ważkiego jak atmosfera środowiska i różne kierunki ciężarów, nurtujących obydwie emigracje. Bo nawet twórczość tych poetów londyńskich, których talent nie osłabł, jakże się różni od wierszy pisarzy wschodniego uchodźstwa, których wibracja tyle jest nam bliższa i porównawcza nie tylko mocą sentymentu, ale wspólnych skrótów nienawiści i cierpienia.

Być może bowiem, iż w tym samym czasie, w którym poeta w marszu bojowym wołał o „grom dzisiejszy“, gen. Anders wydał swej armii w Rosji rozkaz załadowania się na okręty i na pytanie jednego z Polaków, czemu odmawia swego udziału w walce z Niemcami po stronie sowieckiej, odrzekł: „Nam się nie spieszy. My mamy czas“. Nieprzyjacieli zbliżał się do murów Moskwy. Numery na pierśiach więźniów Oświęcimia z dnia na dzień rosły w cyfry. Należało się spieszyć.

Casus Andersa jest dość znamienny. Atmosfera emigracji londyńskiej sprzyjała raczej grze politycznej niż chęci przeniknięcia właściwego sensu rozlewanej krwi. W tych nastroszonych namiętnej poezji nie rodzi się łatwo. Zmiera w nich zdolność współodczuwania z cierpieniem, słabnie wola zrozumienia cudzej krzywdy. Jak silny nacisk polityczny wywierano za pomocą tej gry i nastrojów na ludzi dobrej woli, najlepiej zaświadczy fakt, że jeden tylko pisarz emigracji londyńskiej wypowiedział się przeciw polityce nienawiści wobec Związku Radzieckiego. Jeden — jakkolwiek, o czym dziś dopiero wiemy, było tam więcej pisarzy, którzy tej nienawiści w istocie nie czuli.

Ale rozciągnano sieć kłamstw i oszczerstw, aby w nią uwikłać co podatniejsze ofiary. Nie

tylko morza i rzeki dzieliły tę emigrację od kraju. Grodziła ją od Polski zaporą złej woli przywódców, którzy czynili wszystko, aby wzbudzić w uchodźcach londyńskich niezachcianą wiarę, że w interesie ojczyzny leży przeszkadzanie w zwycięstwie armii, która najszybciej i najłatwiej mogła przynieść Polsce oswobodzenie od Niemców, uwolnienie ofiar z obozów i noce bez śmiertelnych lęków.

Zmierzano do tego ze swobodą i brakiem skrupułów, z tradycją sanacyjnych igrastw i wzorów goebbelsowskiej propagandy. Podjęto hasło Katynia i kto wie, czy ta nazwa geograficzna nie rozbrzmiewała w wierszach polskich w Londynie częściej niż Majdanek, Oświęcim lub aleja Szucha. Przywódcy emigracji umieli nawet z Niemiec chwycić pomysły fałszywe.

Ze używano nie jeden raz kłamstw, że stosuje się je w tym samym celu nadal, nie brak dziś dowodów. Oto jeden z nich, który tydzień temu przepłynął kanał La Manche — niewielka książeczka „Ojczyzna i wolność“ (Biblioteka „Wczoraj i Dziś“, Londyn, 1945), w której Zygmunt Nowakowski pisze:

„W Polsce „uwolnienie“ jak na razie przynosiło konfiskate wszystkich odbiorników radiowych, maszyn do pisania, groźbę utworzenia jednej jedynej partii przy równoczesnej zagładzie biologicznej resztek polskiej inteligencji! A to zaledwie początek, wiadomo zaś, że np. Majdanek zmienił tylko obsługę, i że to samo jest w „uwolnionym“ Oświęcimiu“.

Tyle piewca Katynia. A cóż inni? Oto głos poety Kazimierz Wierzyński w tej samej książeczce poemat „Na zajęcie Warszawy przez Rosjan“, zaczyna i kończy dwuwierszem: „Generale, coś przezwiał się dla innych Borem, a dla nas — o Lwim Sercu pozostał legendą...“. Zaszczyc ten zdziwliwy zapewne najwięcej gen. Bora, którego lwie serce skłoniło do kurtuazyjnych rozmów z gen. SS von dem Bachem po podpisaniu kapitulacji powstania, o czym tak skrętnie informowała prasa niemiecka w dniach, gdy dziesiątki tysięcy ciał warszawskich leżały jeszcze pod gruzami.

W dalszym ciągu poematu autor rozłącza obraz powrotu wojsk polskich u boku Armii Czerwonej, pisząc: „Przez miasto, przez grób naszej matki, błąd, wciśnięty, w obcym się tłumie przemycia jeniec z tajgi, strzep mowy i strzep polskiej czapki“. Strzep polskiej czapki! Nie dalej jak wczoraj niżej podpisany widział w Krakowie oddział białych jęńców z tajgi, którzy w strzepach polskich czapek szli ulicą Szewską, śpiewając pieśń pełną skargi „Idzie dziewczę po lesie“. Gdyby mógł to zobaczyć londyński poeta!

Lecz nie dość na tym. Nieodżałowany autor „Lauru olimpijskiego“ brnie coraz dalej w obłąkane wizje i porównując mimochodem wkroczenie Armii Czerwonej do rzeki Pragi, dokonanej przez Suworowa, pisze niżej w wierszu o Armii Krajowej: „Za wyroki na katów, za celny strzał Krysta — jeden wyrok: do tyurmy. Dla wszystkich, do czysta. Za Warszawę, Warszawę, powstańcze zachcianki — specjalny oddział śledczy: „przybyć do ścianki“. Słowa te przeczyta zapewne z uśmiechem poeta i prozaik Wojciech Zukrowski, który niedawno, po ujawnieniu się w stopniu podporucznika Armii Krajowej otrzymał awans na kapitana Wojska Polskiego, ożenił się i mieszka w Katowicach.

W tym samym wydawnictwie, niemalże na tej samej stronie, z wierszem Wierzyńskiego sąsiaduje utwór Mariana Hemara „Epilog“ — wiersz napisany po uznaniu przez rząd Wielkiej Brytanii Rządu Jedności Narodowej. „Po mieście wczoraj jeszcze przyjaznym, pół-swoim“, — zali się poeta — „a dzisiaj przez noc obcym: wśród ludzi gościnnych do wczoraj i uprzejmych, a już dzisiaj innych — chodzę z wielką pogodą w sercu i pokojem... Tak mi żal tego miasta. Żal mi tej ulicy i tłumy pogodnego. Żaluję Ezawa, który wielkie dzieciństwo ufności i prawa oddał łatwo — za jedną miskę soczewicy. Bracie — my tedy, na dół, tutaj nasza stacja drogi trudnej, dalekiej bardzo, niedaremnej, oto dziś się zaczyna druga emigracja...“

A więc Hemara nazywa Ezawem Anglię za to, że sprzedała Jakuba — Raczkiewicza za miskę soczewicy, którą w mniemaniu poety jest zapewne normalne współzycie z Polską i Rosją oraz pokój Europy. On, Marian Hemar, autor „Konja trojańskiego“ i tekstów do „Qui Pro Quo“, błądzi nad Tamizą i załamuje ręce u progu drugiej emigracji, którą rozpocznie niebawem wraz z Grydzewskim, Maczkiewiczem, Bieleckim i Doboszyńskim. Dziwne koleje świata i ludzi!

Oto plon jednej książeczki, wydanej nakładem ostatnich wysiłków propagandy byłego rządu emigracyjnego w Londynie. Ileż podobnych kłazy po wyspie brytyjskiej? Ileż podobnych szafuje pokarm nienawiści i kłamstw oszukiwanym członkom uchodźstwa polskiego na Zachodzie?

A oto jeszcze jedna. W Londynie 1 lipca 1945 r. wydano opowiadanie pisarza polskiego, napisane w Warszawie podczas okupacji

w r. 1941. W przedmowie do tego opowiadania, w przedmowie napisanej, powtarzam, 1 lipca 1945 r. w Londynie, niejaki Andrzej Pomian usprawiedliwia się, że nie może wymienić nazwiska autora, który jest mu znany osobiście, nie chcąc go narażać na prześladowania ze strony obecnych władz w Polsce. Treścią opowiadania są przeżycia Polaków w obozie oświęcimskim w r. 1941, tytuł jego brzmi „Apel”. Autorem jest współpracownik „Odrodzenia”. Tom opowiadań pod tym samym tytułem, włącznie z tą właśnie opowieścią oświęcimską zostanie w najbliższym czasie wydany przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik”. Autor żyje, jest prezesem oddziału krakowskiego Zw. Zaw. Literatów Polskich, ma żonę i syna, mieszka w domu literatów, jada trzy razy dziennie i nazywa się Jerzy Andrzejewski.

Tych parę przykładów, tak jawnie kłamliwych, wybranych nieledwie przypadkiem z dwóch niewielkich broszurek, rzuca ostre światło na presję psychiczną, którą wywierano od góry na szerokie kręgi emigracji zachodniej. Skoro zważymy, że tych kilka wyjątków to tylko drobniutki, oczko w rozległej sieci propagandowej byłego rządu, jeśli uprzytomnimy sobie, że orientację przeciętnego

emigranta na Zachodzie kształtowały dzieła w rodzaju „Historii Polski” Mackiewicza, czy „Woli Polski” Ignacego Matuszewskiego, publicystyka Strzelciewskiego, Bieleckiego lub Nowakowskiego, którego wystąpienia nazywa Wierzyński „głosem sumienia naszych czasów”, że Tuwimowi ten sam Kazimierz Wierzyński czyni ciężki zarzut, iż: „ustęp z „Kwiatów polskich” o ostatnich przedwojennych latach polskich, do zdumienia małoduszny w obecnych czasach, w okropnym dla nas wszystkich nieszczęściu, umieszczony został przez poetę w komunistycznym piśmie w kwietniu 1943 roku” — wówczas obraz duchowy emigracji zachodniej staje się niemal jasny. Sześć wojennych lat przeżyto tam w jakimś nieruchołym punkcie osi obracającej czas i świat, założono tam na te lata szczelną kolonię przeszłości, wraz z jej zamierzczym układem politycznym, włącznie z zastarzałą mechaniką myślenia. Tylko śmiała emancypacja wewnętrzna mogła wyrwać pisarza z atmosfery, nad którą ciążyła groźba odium za próbę strącenia z siebie kompleksów antysowieckich. Niewielu pisarzy stać było na tę śmiałość.

Jeśli starczyło odwagi, to zabrakło siły. Siły wyrwania się z sieci intryg, siły przenik-

nięcia prawdy o życiu Polski w niewoli. Nawet więc ci pisarze, którzy zdołali się oprzeć presji politycznej, nie potrafili wytworzyć jej przeciwwagi duchowej. Najlepsi z nich poprzestali w swych utworach na sentymencie pamięci, na zwrotkach kołyszących wspomnienia serdeczne i wzruszające, zapewne — lecz jakże wiotkie wobec potężnej grozy sześciu wojennych lat.

Dlatego najbardziej znamieny dział polskich wód twórczych w czasie wojny zdaje się przebiegać wzdłuż owej zapory, która dzieliła wychodźstwo zachodnie od ziemi ojczystej. Za kanałem, za Atlantykiem myśl polską żywiła przeszłość. Ten dział duchowy rozgrada od siebie zarówno dojrzałych jak i młodych, istnieje wśród prozaików i poetów, biegnie między Lechoniem a Jastrunem, podobnie jak między Kiernowskim a Wirpszą, Pietrkiewiczem a Bienkowskim, Kuncewiczową i Boguszewską, między Cwojdzimskim a Otwińskim. Rozdział ów przebiega z każdego niemal utworu — są swą siłą nieporozumienia, zdarzają się po obu jego stronach fragmenty tak przeciwstawne, że ogarnia zdumienie na myśl, w jak różnych światach mógł człowiek przeżyć tych sześć lat wojny.

„A potem jedzie wojsko. Ura! Ura! Nad

nami tylko niebo! Swiergot ptaków w górzel Na sercu róża z balu. Róża białej pani... Nad wszystkie kwiaty droższa. I nad wszystkie różę. Nieprzejścielą za łasem. Szarża kawalerii! Śmierć zbiera swoje żniwo w barwnych polnych makach. — „Zegnaj mi gnady koniu. Służyłeś najwierniej...” Umiera śliczny ułan z obrazu Kossaka” — pisze na emigracji poeta Kiernowski tęskniąc w lechoniowych strofach za staromodną wojną.

Czyż wiersz młodzickiego poety-partyzanta pt. „Ojczyzna”, wiersz Piotra Borowego, napisany w kraju, nie brzmi jak odpowiedź na ułańską melancholię uchodźczy?

„Długo byłaś dla nas obcym słowem — od święta, fałszywym, jak uśmiech prezydenta. Nie schodziłaś z ust generałów, z amarantów, aż zeszała wreszcie zdradzona do ludu — do partyzantów. Tam nikt nie grał bohaterów, a jeśli chwycił się za serce! to naprawdę, to umierał”.

Rzekł, morza i góry, rozłąka z Ojczyzną i jej prawdziwym życiem pokrzywdziły zachodnie pisarstwo uchodźcze ostatniej wojny. Tylko ci, którzy powrócą, potrafią nas z czasem zrozumieć. Tamci nie rozumieją nas nigdy. Ani nas ani Ojczyznę.

Kazimierz Brandys

KSAWERY PRUSZYŃSKI

## Dzieje emigracji londyńskiej Katyń i Gibraltar

Jesienią 1942 pierwsze większe grupy Polaków z Rosji przybyły przez Iran i Przylądek Dobrej Nadziei do Szkocji. Mieli oni wyposażoną kadrową w swej większości armię polską w Szkocji w tak potrzebne a brakujące masy żołnierskie. Pierwotny plan Sikorskiego był zatem zupełnie odwrotny; nie młodzi oficerowie polscy ze Szkocji spieszyli do Rosji, aby tam wejść w szeregi armii, ale z Rosji masa żołnierska szła do Anglii, aby pomnożyć tamte szeregi.

Ludzie ci mieli w dalszym stopniu wpłynąć na nastroje emigracyjne. W olbrzymiej swej większości Anglii i Zachodu nie znali ani nie rozumieli, w społeczeństwo angielskie wchodziła wolniej i oporniej niż ci, co o dwa lata wcześniej z portów francuskich ładowali w Wielkiej Brytanii. W barczym znacznym procencie stanowili ludność z naszych ziem wschodnich, przy czym było bardzo wiele rodzin osadników byłych kresowych, szlachty zaściankowej i służby folwarcznej. W Iranie, w obozach, coraz to jakaś zacna matula w chuchcie podsyłała dzieci swoje, aby emkoneły w rękę angielskiego pana sierzanta, co, rzecz jasna, napawało go zdumieniem, zlekka przerażeniem, i nie wywoływało w nim w następstwie zbyt pochlebnego mniemania ani o narodzie, gdzie istnieją podobne obyczaje, ani o ustroju społecznym, którego wyrazem była tego rodzaju czolobitność. Cóż dopiero, gdy postępowali tak nawet dorośli! W Anglii jeden z moich przyjaciół wołyńskich tańczył na dancingu z Polką z Rosji, dziś w mundurze, jak i on sam. W pewnym momencie panią zorientowała się, że rozmawia z synem ziemian z sąsiednich dla niej O... i zapytała:

— A panicz dawno w Anglii?

Tak, był to zgola inny element od dawniejszego. Nadomiar złego niedawne przeżycia rosyjskie zapanowały całkowicie nad ich wyobrażeniami usuwając wszystko inne na plan najdalszy. Przewidywalni Sikorskiego mogli łatwo zerwać zarówno na nastrojach antysowieckich tych ludzi, jak i na ich niezamożności Anglii. Bez większych trudów można było im wmawiać, że w gruncie rzeczy Anglii chcą jak najszybciej wykończyć Sowiety, a jedynie słabość Sikorskiego i prosowieckość jego otoczenia podkopuje sprawę polską. Przybywszy z Rosji byli nader liczni, toteż ich nastroje udzielały się coraz silniej reszcie emigracji. Udzielały się tym silniej, że aparat biurokratyczny tejże, zarówno wojskowy jak cywilny, był już zdawna opanowany przez ludzi przedwrześniowych, a także dlatego, że — niestety! — te wszystkie czynniki ideowe, postępowe, demokratyczne, jakie były jeszcze silne we Francji, trzymały się w Anglii, wreszcie, po trzech latach „polityki ustępstw”, straciły wiarę w Sikorskiego. Jedni poszli jeszcze bardziej na lewo, inni, najliczniejsi, przestali zajmować się sprawami publicznymi. Oddali się studiom wojskowym, poznawaniu Anglii, pisarstwu, życiu prywatnemu, słowem wszystkiemu. Z życia politycznego w emigracyjnym podwórku wcześniej się wyobcowali.

W związku z nowymi nastrojami opozycja przeciwko Sikorskiemu zaczęła podchodzić do nowego szturmu. Porozumienie z Rosją, które od wizyty na Kremlu nie poszło naprzód, dostarczało stałego tematu do napaści. Wspomnienia kazachstańskie tylu ludzi robiły to samo. Psucie się stosunków polsko-rosyjskich, jakie odzwierciedlać się zaczęło nawet w tonie radia i prasy sowieckiej, było tym milszym tematem, że przeciwko ambasadorowi Sikorskiemu w Rosji był nie kto inny jak pro-

fesor Kot, długoletni Sikorskiego przyjaciel, obecnie przedstawiany przez opozycję jako eminence grise, czy raczej noire Sikorskiego, jego zły duch, jego podżegacz. Nienawisć do Kota ze strony sanatorów była najzupełniej uzasadniona. Był to jedyny człowiek w otoczeniu Sikorskiego, który starał się — nieraz słabo, niekonsekwentnie i nieudolnie, ale przecież starał się, aby polskie władze na emigracji nie były dokładną personalną rekonstrukcją GISZu, ulicy Wierzbowej i reszty z 1939. Czynił to, jak powiedzieliśmy, dość dorywczo, nieudolnie, chaotycznie, wprowadzał w tej słusznej zasadzie bardzo nieuzasadnione wyjątki, ale jednak on jeden o tym myślał. Cóż dziwnego, że był zniechęcony przez tych wszystkich, którzy jak ognia bali się wszelkich czystek i za główny cel całej polityki poczytywali własny powrót do urzędowania? Kot podjął się ambasady moskiewskiej wiedząc, że będzie to nie tylko misja bardzo ważna i trudna, ale jeszcze i bardzo ostrzeliwana; nieszczęściem, w doborze ludzi i on dał sobie narzucić speców wskazanych przez czynniki wojskowe i emeszeckie, którzy działali poza nim, mimo niego, a bodajże i wbrew niemu, których zachowanie się w Rosji stało się powodem do bardzo licznych skarg ze strony rosyjskiej i zaciążyło na wiosnę i latem 1942 roku zarówno na stosunkach rządu polskiego z Rosją, jak i na samej ambasadzie Kota.

Następca Kota, zawodowy dyplomata polski Romer, przyjeżdżał do Rosji latem 1942 roku, z mniejszą może wiarą niż Kot, z mniejszym ładunkiem entuzjazmu, ale i z większą cierpliwością dyplomatyczną. Miał serce niewątpliwie znacznie bardziej zamknięte na liczne niedole ludzkie, jakie mógł oglądać wśród Polaków w Rosji, ale za to unosił zna-

cznie bardziej otwarty na dalsze polityczne perspektywy. Raz jeden jeszcze stosunki kujbyszewskie (bo ambasady obce rezydowały w tym nadwożańskim mieście, dawnej Samarze) uległy poprawie, bardzo słabej, ale przecież poprawie. Niezależnie od sukcesów terytorialnych Niemiec, sytuacja frontowa zaczynała także przechylać się na stronę rosyjską. To prawda, że Niemcy wdarli się głęboko w Rosję, że rozlali się aż po próg stalingradzki nad Wołgą, aż pod naftodajny Kaukaz i przedmieścia Leningradu; tak, ale był to kosztowny, a bezpłodny wysiłek. Nie padł ani Leningrad, ani Moskwa, ani Baku, a tymczasem drugie lato wojny rosyjskiej dobiegało końca, nadszła druga dla Niemców rosyjska zima. Goebbels dudnił przez radio wołając o zbiorke damskich mufek i etol na potrzeby żołnierzy frontowych i trzeba było być bardzo krótkowzrocznym, żeby i teraz nie liczyć się z rosyjskim zwycięstwem.

A jednak nie liczone się z nim weale. Tak samo jak i dzisiaj jeszcze opinia polska jest karmiona krótkoterminowymi plotkami, innymi na Kraków, innymi na Dziedzice, a jeszcze innymi na Warszawę, tak samo wtedy krążyły nie wiadomo przez kogo puszczane i nie wiadomo dlaczego znajdujące wiarę najnieprawdopodobniejsze bajdy. Dotyczyły one ze szczególną atencją fatalnego położenia Rosji. „Jak pan może wierzyć w takie bajdy” — mówił mi w British Museum pewien major — „że czterdzieści dywizji niemieckich jest otoczonych pod Stalingradem; gdyby pan się znał na nowoczesnej taktyce, wiedziałby pan, że jest to techniczna niemożliwość”. I cytował mi niesłychanie dokładne i niezmiernie fachowe wylczenia. Rozstaliśmy się. „Very good news to day” — oznajmiła mi wieczorem moja angielska gospodyni — „did you

heard? A German fieldmarshal has surrendered at Stalingrad”. Przekreśliłem radio. Huczało wielkim zwycięstwem. Zadzwońnię do majora. Wcale się nie zmieszał. „To nie ma najmniejszego znaczenia”.

Istotnie, i to także nie miało najmniejszego, nie tyle znaczenia, co wpływu na nastroje emigracyjne. Nowe kadry zapasowe Polaków z Rosji przybyły właśnie do Anglii, a ich dole i niedole podgrzewały nastroje. Nastroj był niezmiernie podgrzany na przedwiośnie 1943, a stosunki polsko-rosyjskie z trudem łagodził ambasador Romer, kiedy radio niemieckie zaczęło nadawać wiadomości o odkryciach w lasach katyńskich.

Nieodnalezienie się około 8 do 12 tysięcy oficerów polskich, internowanych w trzech wielkich obozach, Ostaszówce, Starobielsku i Kozielsku, było od dawna ciemną chmurą na i tak zachmurzonym horyzoncie rosyjskopolskim. Znikli oni rzeczywiście bez śladu, a władze sowieckie również nie mogły powiedzieć, co się z nimi stało. W przeważnej większości były to bardzo dobre kadry oficerskie zawodowe, koledzy ich zapelniali sztab wojsk generała Andersa, ulubiony osobisty adiutant Sikorskiego znajdował się między nimi, wielu ludziom na Zachodzie byli to przyjaciele i bliscy. Teraz propaganda niemiecka rozkopywała te mogiły dobywając je na świat. Uderzała niewątpliwie w teren uprzednio przygotowany, jeśli chodzi o emigrację londyńską. To, co powstało jako echo Katynia, było naprawdę burzą. Burza ogarnęła biura londyńskie, urzędy polskie; sztab, opanowała w mniejszym może stopniu oddziały wojskowe. Prasa rządowa, dotąd dość nieudolnie broniąca porozumienia z Rosją, teraz zmieniła front i poszła w pierwszym szeregu oskarżających. Jakby na wyprzodki ze swymi wczorajszymi przeciwnikami liczyła się w rewolwerowo-napastliwym podawaniu wszystkich niemieckich szczegółów. A Zygmunt Nowakowski napisał artykuł, który władze niemieckie uznały za nadający się w pełni do przedruku w pismach „Generalnej Gubernii”. Zebrany rząd, na wniosek ministra spraw wojskowych, postanowił zwrócić się do genewskiego Czerwonego Krzyża z prośbą o przeprowadzenie śledztwa. O to samo w parę godzin później zwrócił się i rząd Rzeszy niemieckiej.

Jeśli do owej pory Polacy Londyńscy, wprowadzani w błąd przez własną prasę, mogli nie orientować się w rzeczywistych nastrojach Wielkiej Brytanii w stosunku do Rosji, to teraz nawet najmniej obeznani z Anglią musieli zorientować się w oka mgnienia. Opinia prasy, polityków, ludzi ulicy była identyczna, była w całości antypolska, w całości popierała stronę sowiecką. „Protest katyński zmniejszył popularność Polaków w Anglii na 50 procent w ciągu niecałych 24 godzin”, stwierdzał jeden z korespondentów szwedzkich. Było to prawdą. „Nigdy sobie nie wyobrażałem, że Sowiety są aż tak popularne”, dziwił się jeden z asów polskiej dyplomacji. Wypowiedzi parlamentarne ministra Edena i innych były powszechnie znane, ale nader przykre. Sama opozycja polska, która sprawę rosyjską traktowała przede wszystkim jako znakomity sposób do obalenia gabinetu Sikorskiego, próbowała rejterować. Ci, co przygotowali burzę katyńską, mówili teraz głośno, że wszystkiemu jest winien Kot, który jako nowy minister informacji kieruje polską prasą rządową, Sikorski, który dopuścił do genewskiego wniosku, Kukiel, który go zgłosił. Dawali do poznania, że oni, gdyby byli u władzy, postąpiliby inaczej. Ponieważ sami u władzy nie byli, więc, rzecz jasna, zasiali wiatr,

PAWEŁ KUBISZ

### Krew już z żył wyciekła

Jarganki dzierzym w gębie,  
Pod dzikiem stojym dębym —  
Szuści pieśniczka jargo,  
Płacze pod okróm wargóm...

Skidane nogi bosc,  
Opiryżł szary osel,  
Porłki w łaty srokate —  
Kijek w kicie sękaty —

Łomocz, szuwierz muzyko,  
Po dziedzinie cie smykóm,  
Harwoś, gwizdej, postękuj —  
Jarganeczki sóm w jęku.

Gizdy w chalpach sie joszczóm,  
Biйда gwizdez im śmychém —  
Gnym sie w kijek i proszczym,  
Dmóchóm w klawisz zlym dechem...

Tak się uczym rzympolić  
O tym wszystkim co boli,  
I rozśląpić to w wiersze —  
Do daleka w najszersze!

I poetóm, mścicielem  
Wyróść na świat niedzielóm —  
I roz zagrać w organy,  
Świstym w huku łarganym!

Na barykady, szaleńcy, wstawać!  
Dzień jest straszliwy, a jutro grobem!  
Krzwyda was wołam, ja ludzka sprawa,  
Dzwonią do marszu, dzwonią okowy!

Śmierć odegrano nam dziś i wczoraj —  
Posiano łany w cudzy urodzaj...  
Tak opuszczony, z klęską się porać,  
Wybieram dzisiaj w noc — bunt — za wodzel

Gdzieś jęć się błęka z pruskich szubienic,  
A topór kła korbę przekręca —  
Dwadzieścia cztery trupy w Cieszynie  
Z łianych powrozów na ziemię strącam!

I głów pięćdziesiąt tam w Kalowicach  
Ściętych toporem na świadków wołam —  
Ścieka słów strasznych krew — błyskawica,  
A światu nie ma — los pędzi koła!

Na furach trupy — to Żywociele!  
Wy polskie trupy o nów, swobodę!  
Ręka wskazuje tu Ostrawicę —  
Pieśń moja brabli wolności głodem!

Do buntu ciągnę ciężkie ramiona,  
Chrzęszczę, jak zbroja, kości sferane —  
Nie chcę, nie mogę — umrzeć i konać  
Tulej za Olzą! Chcę wstać — czy wstanę?!

Słowniczek: Jarganki = harmonijka ustna. Dzierzym = trzymam. Skidane = wynędzniałe. Jargo (jargać się) = dogadywać się, lekki odcień kłótni, zwadliwy wybuch uczucia. Srokate = pstre. Kijek = kij. Szuwierz, szuwierzyc, zasuwierzyć się = gmerać, majstrować, zagubić się (trudno znaleźć właściwy odpowiednik). Dziedzina = wieś. Smykóm = włóczę. Harwoś = szeszka, ale także: nie harwoś już o tym = nie mów, nie gadaj już o tym. Jarganeczki = forma zdrobniała, patrz: jarganki. Gizdy = dzieci. Joszczóm się = przekorniczą się.

\*) Por. „Rzecz działa się w kraju...” w nr 44, „Bieg na przelaj” w nr 45 i „Irański odmarsz” w nr 52 „Odrodzenia”.

który przyniósł burzę. Była ona nie do odrobienia. W kilka dni potem nastąpiło zerwanie stosunków dyplomatycznych; w parę tygodni potem powstawał już w Rosji z inicjatywy Związku Patriotów Polskich zawiązek przysiężnej kościuszkowskiej armii. Polityka Sikorskiego leżała w gruzach.

Czy w razie, gdyby była inna, leżałaby również w gruzach? Naszym zdaniem — nie. Przykłady polityki rosyjskiej w stosunku do wszystkich innych sąsiadów Rosji wskazują również, że nie. Rosja uznała marszałka Mannerheima w Finlandii, choć był on dwukrotnie — czy raczej trzykrotnie — wodzem w wojnie z nią — i dzisiaj, w chwili największego rozrostu sił rosyjskich, marszałek Mannerheim jest prezydentem Finlandii. Rosja uznała przybyłego z Londynu Benesa, chociaż trudno ją posadzić o nadmiar zaufania do „czeskiego Talleyranda“. Rosja uznała i króla Michała rumuńskiego; tak, w bardzo wielu wypadkach Rosja szukała porozumienia z wybitnymi, niekomunistycznymi, czasem nawet bardzo obcymi komunizmowi politykami swych zachodnich sąsiadów. Rozumiała, że daje to w praktyce daleko idące korzyści, że i pozycja Mannerheima, i prestige Benesa i nadzieje wzbudzone przez młodego Michała, mają swe realne znaczenie. Tylko w Polsce było inaczej. A przecież to, co Sikorski posiadał w Polsce, tej polskiej, nie tej londyńskiej Polsce, było czymś więcej niż prestige, pozycją, czy stanowiskiem. Było legendą. Istotnie. Tylko, że w fałdy tej legendy zaplątało się, niestety, zbyt wiele nienawiści do Rosji.

Związek Patriotów Polskich dojrzał w zresztą w Rosji dosyć powoli. Wiosną 1943 Sikorski miał nieco ulgi. Jego przeciwnicy rozumiejąc, że Katyniu, jak silna jest moralna pozycja Rosji w opinii brytyjskiej. Zrozumieli także, że Wielka Brytania nie dopuści do powstania na jej terytorium rządu wrogów Rosji. Należeli tedy tłumik na swoje antysowieckie audycje. Tylko na Bliskim Wschodzie było inaczej. Tam Katyni przeżyto jeszcze silniej, jeszcze gwałtowniej. Beczność dywizji polskich na pustyni, niedawne wspomnienia rosyjskie, wszystko to robiło swoje. Generał Anders orientował się także, że ta masa żołnierska, która stoi pod jego dowództwem, stanowi przeważającą większość polskich sił na obczyźnie, podczas gdy to, co z generałem Sikorskim znajduje się w Londynie, jest w gruncie rzeczy mniejszością. Kto więc naprawdę rzadzi armią? Podczas paru odwiedzin w Anglii mógł się zorientować, jak bardzo zbliła u Polaków gwiazda Sikorskiego, wędził też, jak polityka porozumienia z Rosją jest głęboko niepopularna. Postanowił raz jeszcze postawić na zupełnie inną kartę. I tak, jeśli w Londynie, po Katyniu i zerwaniu z Rosją nawet opinia należała sobie tłumik, to na Bliskim Wschodzie, u Andersa, tym silniej zadęto w wojenne pułony. Wojenne pułony zwracały się teraz nie tylko przeciwko Rosji, ale także przeciwko Sikorskiemu. Raporty i meldunki mówiły o groźnym buncie, o groźnych nastrojach, o spiskach przeciwko Sikorskiemu i konspiracjach. Mówiono nawet o gotującym się — jakoby — zamachu. To wszystko było przyczyną, dla której Sikorski postanowił przeciąć narastający wrzód niezadowolenia. Pomimo złego stanu zdrowia udał się — właśnie w tym celu i właśnie z tych racji — w swoją ostatnią podróż na Wschód.

Podróż była całkowicie poświęcona rozładowaniu tych nastrojów. Sikorski niespodziewanie zjawiał się prawie bez eskorty w tych właśnie oddziałach, gdzie nastroje miały być najgorsze, przyjmował — z nielicznymi wyjątkami — oficerów, którzy najostrejszemu działaniu przeciwko niemu i wszystkim swe wysiłki poświęcał na rozładowanie. Tuż przed odlotem do Anglii, w jednym z oddziałów znanym z piśmudzkowskich tradycji powiedział: „Zagrajcie Pierwszą Brygadę“, i stał na baczność, gdy grano ten hymn jego przeciwników. Niemal przy dźwiękach tej pieśni lądował w samolocie. O świcie następnego dnia lądował w Gibraltarze. Następnego nocy była katastrofa.

Prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się o niej prawdy. Najprawdopodobniej Sikorski nie żyłby długo. Ostatnie lata, widmo ciężkich decyzji przed nim, wreszcie zajadła walka, jaką z nim toczono na emigracji, wszystko to zniszczyło i siły i zdrowie tego człowieka. Wszyscy lekarze odradzali mu ostatniego lotu. Jest dalej wątpliwe, czy wobec nadciągających wydarzeń zdobyłby się na dosyć wiele heroicznych postanowień, by ratować co tylko do uratowania było. Pewne jest, że dla niego samego to walczenie życie zakończone takim właśnie bohaterskim akordem, było najlepszym finiszem, najpiękniejszym odejściem do historii, jakie sobie można wyobrazić, a ci, co go tak wytrwale do ostatka zwalczały, mieli się niebawem przekonać, do jakiego stopnia ten człowiek jest niezastąpiony. Ale z tym wszystkim ubywało w świecie człowieka, który w oczach angielskich zrosł się z Polską, z obroną Anglii w 1940, z tymi lotnikami i marynarzami i żołnierzami polskimi, którzy tu walczyli w wierze, że bronią Kentu, Dowru czy Kornwalii, bronią ziem Rzeczypospolitej. Poza wszelkimi prawnymi zobowiązaniami, które szybko blakną na pergaminach, istniały niepisane, moralne zobowiązania w stosunku do tego właśnie człowieka, trudne do ominięcia, ciężkie do przekreślenia. Na tym wszystkim położył się cieniem Gibraltar.

Krawery Pruszyński

WANDA ŻÓŁKIEWSKA

## Z obozu kobiet w Limbachu

Całkiem odrębny dział w niemieckiej ponurej akcji, mającej na celu biologiczne niszczenie ludności polskiej, stanowią tzw. obozy pracy.

Każdy Polak pamięta jaskrawe, ordynarne plakaty uliczne z tekstem, wierszem lub prozą, nawołujące do dobrowolnego wyjazdu do Niemiec. Coś w rodzaju: „W góry, w góry, miły bracie, tam swoboda czeka na ciebie“. Uświadomieni politycznie wyczytując obiecywane korzyści, zapowiedź rajy na ziemi niemieckiej, uśmiechali się złośliwie, mniej zorientowani, znęcani przynętą rozczarowywali się dopiero na Skaryszewskiej.

Obozom pracy robili Niemcy szumną reklamę, chwalili się przed światem, że robotnicy obokrajowcy mają się u nich świetnie. Po klęsce powstania sierpniowego wyładowali ludność Warszawy i wywozili do Rzeszy. Marsz do Pruszkowa, bydłowy wagon i jazda na Zachód.

Jadę i ja. Warszawa, Poznań, Cottbus, Drezno, Chemnitz. Tu tygodniowa kwarantanna w obozie rozdzielczym.

Na czym polegał ten rozdział, Bóg raczy wiedzieć! Kapano nas niby, niby odwieszano, niby klasyfikowano według stanu zdrowia, niby dzielono na grupy według zapotrzebowania fabryk. Ale myć się nie było czym, saba-dille zastosowano tylko w 20%; lekarz nie dotykał nas i nie posiadał innej pieczątki, jak z literą „A“, wreszcie kobiety zaprzyjaźnione ze sobą same tworzyły grupy. Wszystko to mówi o zabawie „na niby“. Wiele rzeczy wprowadzało nas tu w najgłębsze zdumienie. I bezradność, i brak organizacji, i bałagan, i fantastyczne curiosa. Np. w Niemczech, w których mężczyzna był wówczas trupem na cmentarzu, stuprocentowym inwalidą albo kilkuletnim dzieckiem, w kraju, gdzie kobieta tańczyła z kobietą, piła piwo w towarzystwie kobiety, a puszczała się z każdym, choćby najpokraczniejszym cudzoziemcem, — w łazienkach miejskich Chemnitz i Limbachu kapali nas mężczyźni i to zupełnie zdrowi i młodzi. Na próżno prosiłyśmy o żeńską obsługę, wyśmiano nas i nagie oglądano od stóp do głów z ironicznym zadowoleniem.

Jak się okazało, nie byłymy nikomu w Niemczech potrzebne. Przedstawiciele urzędów pracy nie chcieli przyjmować kobiet w tych ilościach, jakimi chcieli ich obdarzyć oboz rozdzielczy w Chemnitz. Kiedy wreszcie wyszukano dla nas miejsce, wraz z 300 innymi kobietami znalazłam się o 16 km od Chemnitz, w saskim miasteczku Limbach, w obozie pracy. Nazywał się „Scherf“ i mieścił się w starej, bardzo zniszczonej fabryce. Dwoje było przywódców obozu, których pamięta dobrze polski i rosyjski zespół więźniarek. Kierownik, ordynarny pijak, znęcał się nad nami przykładnie, daleko jednak więcej dała się nam w znaki jedza obozowa Herta Bergner. Wysoka, chuda, z wytrzeszczem oczu, sadyzka. Jadły nas na śmierć wszy i pluskwy, przeto starałyśmy się tepie robotwo. Panna Bergner, która była kierowniczką sanitarno-higieniczną, robiła wszystko, abyśmy nie zwały się plagi insektów. Polki pamiętają śmierć młodej kobiety, zmarłej na dyftert, zmuszonej przy 40-tu stopniach gorącości do pracy w zimie na dworze. Daremnie tłumaczka polska błagała o zwolnienie z pracy, zastrzyk antydyftertowy i szpital dla chorej.

Co stało się z Hertą Bergner, gdy wkroczyli Amerykanie? Pod eskortą amerykańską przychodziła przez parę dni wydawać kartki żywnościowe, a obecnie żyje i ma się dobrze w Limbachu.

Herta Bergner, jak wszyscy Niemcy, lubowała się w formalistycie. Gdy w Oświęcimiu zamordowany został mój brat, policja przysyłała mi depesze, wezwania, pokwitowania, zaświadczenia; wzywano mnie sześćokrotnie na Aleję Szucha, a na koniec zapytano uprzejmie, w poczuciu doskonale spełnionej powinności, czy wszystko zostało załatwione podług mojej myśli. Tak samo kierowniczką naszego obozu: najczęściej chore wypędzała z łóżek do lekarza, wypisywała mnóstwo formularzy i już o 7-ej rano urzędowała na salach sypialnych budząc przybyłe przed chwilą z nocnej zmiany, nieprzytomne z wysiłku i głodu kobiety, piskliwym krzykiem: „Aufstehen, zum Doktor gehen“, choć doktor rozpoczynał przyjąć dopiero o dziesiątej.

Ciekawą postacią był ten doktor Flössel, w którego ręku było nasze zdrowie i życie. Zetknęłam się z nim dwukrotnie w ciągu roku pracy w Limbachu; kto widział doktora Flössela raz, unikał go za wszelką cenę, wolał się leczyć sam. Przy Chemnitzerstrasse w Limbachu tabliczka metalowa z napisem „Dr Flössel“. Czystałki schody z błyszczącym jak lustro linoleum, mały gabinet lekarski, biały i schludny. W gabinecie trzy osoby prócz mnie: doktor, jego żona i nieodzowna panna Bergner. Doktorowa, domowa kwoka przepadająca za plotkami, usiłuje z każdą chorą porozmawiać prywatnie, dowiedzieć się, czy i gdzie ma męża i dzieci, z dzieciinną radością wita Polki, które znają choćby kilka słów niemieckich. Od niej zależy ostateczne orze-

czenie i zwolnienie od pracy lub natychmiastowy powrót do fabryki.

Kiedy stałam w gabinecie niemieckiej Kasy Chorych z dwoma palcami prawej ręki zgangrenowanymi do kości, czułam się jak Szwedk na komisji lekarskiej, która badała jego stan umysłowy. Dr Flössel z oczyma wariata, rękami trzęsącymi się, głową wciąż opadającą na piersi (z powodu ciężkiego wypadku podczas ubiegłej wojny stracił poczucie równowagi), zatrzymał się nad moją ręką, popatrzył na mnie nieprzytomnie, wybełkotał coś, co rozumiała tylko jego żona. Zalecił rąk nie moczyć i utrzymywać je ciepło, chciał przyłożyć mi gojącą maść. Gdy powiedziałam, że pracuję zawsze trzymając ręce w wodzie i kwasach, a maść gnoi rany, dr Flössel zatrząsał się od stóp do głów, wybełkotał, że nie wie gdzie i jak pracuję, natomiast wie, że maść istotnie nie pomaga — po czym — położył mi maść na palce i spojrzawszy z wysiłkiem na pannę Bergner. — „Możesz iść do pracy“ — dysponowała dama obozowa. Lecz tu wtrąciła się doktorowa, która dowiedziała się ode mnie, że nie mam wieści od męża i że jestem nauczycielką gimnazjum. Orzekła twardo, głosem nie znośnym sprzeciwu, że rany są ciężkie, przeto powinnam na dwa dni być zwolniona z pracy. Porwawszy kartkę, pozostawiłam Hertę Bergner w gwałtownej dyskusji z doktorową, a doktora wodzącego bezprzytomnym wzrokiem od jednej do drugiej.

Podczas drugiej wizyty u dr Flössela byłam świadkiem wypisywania recepty. Dr Flössel zamyslił się głęboko nad białą kartką papieru i zapomniał o świecie. Na próżno żona nawoływała go do ocknięcia. Doktor oprzytomniał dopiero, gdy żona zaczęła dyktować po łacinie środki i dawki. Trzy recepty podarto, czwartą wręczono chorej, która dostała lekarstwo po dziesięciu dniach.

Fabryczny punkt sanitarny nie rozporządzał właściwie innymi środkami poza uniwersalną maścią oraz bandażem. Sanitariusz w rozmowie z osobami, których się nie bał, podkreślał, że najlepiej nie robić poza oczyszczeniem i owinięciem rany, bo środki stosowane są najczęściej szkodliwe. Tak więc opatrząc moje palce, zerwał celofanowy opatrunek, który ochraniał wprawdzie ranę przed kwasami ale tamując dopływ powietrza, powodował gnojenie.

Widać z tego, w jak fałszywym świetle wielu Polaków wyobrażało sobie rzeczywistość niemiecką, jak bezpostawna była wiara w sprężystość organizacji niemieckiej, jak nieuzasadnione były zachwyty nad doskonałością instytucji niemieckich. Owszem, było ich wiele, ale nie służyły nikomu, pozostawały nazwą bez treści. W tym tkwiła istota faszystowskich praw pracy. Miała ona w Niemczech charakter niewolnictwa, maskowanego zręcznie dla swoich, brutalnego, bezobsonek — dla cudzoziemca.

Kiedy do obozu „Scherf“ zawitała śmierć, kiedy karmiono nas wodą z brukiwi i 20 dkg chleba dziennie, kiedy kobiety zaczęły mdleć przy pracy, kiedy łazienkę i ubikację obozową zamknięto na stałe, kiedy raz po raz wychodziły zakazy opuszczenia obozu w niedzielę, kiedy kucharz pobił i skopał dwie kobiety, które zwróciły śmierzdzącą żupe, kiedy obiecywane koce i sienniki nie nadchodziły a większa część kobiet leżała na gołych drewnianych pryzkach we wrzodach i ropiejących ranach, kiedy dzieci narodzone w obozie zaczęły umierać a starsze zdradzać objawy gruźlicy — padło pytanie, kogo można prosić o pomoc.

Stare robotnice pracujące w Niemczech od kilku lat, wymieniły zarządy fabryki i Arbeitsfront. Zaczęłyśmy od fabryk. Zarząd nie przyjął tłumaczki obozowej. Posłaliśmy tedy całą grupą pod biurko, zatrzymały w przejściu Freitaga, pełniącego funkcję władzy zwierzchniej dla cudzoziemskich robotników i robotnic, pokazały mu żupe i przedstawiły nasze bolączki. Ten Niemiec, który budził nas ze snu podczas przerwy w nocnej zmianie kopaniem, a partyjną odznakę ze swastyką zdjął dopiero na dwa dni przed przybyciem Amerykanów, zląkł się tłumy i rozkazał wszystkim natychmiast zwrócić się do pracy. Straciłyśmy ostatnie złudzenia. Na dowód, że w obozie panuje porządek i wyżywnienie jest dostateczne, zarząd fabryki wywieszał od tej chwili na drzwiach naszej garderoby spisy tygodniowych racji żywnościowych, które nie miały nic wspólnego z rzeczywistym stanem. Inne fabryki odnosiły się do petycji swoich robotnic rozmaicie; w jednych w milczeniu wysłuchano delegacji, w innych nie pozwolono jej przyjąć do głosu. Jedynie robotnice polskie z fabryki Juliusza Köhlera otrzymały sienniki i koce, zakładał wydelegował komisję na lustrację obozu, a dyrektor kazał sobie codziennie pokazywać porcję obiadową. Köhler miał w Limbachu opinię komunisty.

Warto jeszcze zaznaczyć, że Freitag, znany w fabryce Ernsta Sampego w Limbachu jako hitlerowski slugus i szpiec, teraz schudł tylko cokolwiek, twarz mu przybladła, ale głowę nosi nadal na karku.

Wystąpiłyśmy z podaniem do Arbeitsfrontu.

Trześcią podania była zwężła charakterystyka głodu i brudu w obozie oraz prośba o wyjaśnienie, jakie co do ilości i jakości przewidziane są przydziały dla robotnic polskich w Rzeszy. Arbeitsfront nie dał odpowiedzi, ale w obozie pojawili się policjanci, którzy toczyli ciche rozmowy z kierownikiem. Kucharz ostrzegł sekretnie naszą tłumaczkę w przeddzień wkroczenia Amerykanów do Limbachu, aby trzy kobiety przedstawione policji jako przywódczyni „buntu“ znikły z obozu przynajmniej na 24 godziny i z daleka śledziły przebieg wydarzeń. W ten sposób zakończyły się nasze próby odwoływania się do instytucji ochrony pracy.

Mały dawniej, 20-tysięczny Limbach, rozrósł się w czasie wojny do 75 tysięcy. Zaludnili go Niemcy ze zbombardowanych miast i obokrajowcy. Mieszkański partykularz, opatrujący Niemcy w bieliznę milanaisową, pończochy i rękawiczki, w dobie hitlerizmu przerzucił się na produkcję wielkich 27-funtowych granatów i małych granatników. Kiedy prawie wszystkich Niemców już zmobilizowano, miasta i fabryki niemieckie przedstawiały istną wieżę Babel. W Limbachu pracowali Węgrzy, Rumuni, Francuzi, Anglicy, Czesi, Rosjanie, Jugosłowianie i Polacy. Z wszystkich najlepiej traktowano Węgrów, najgorzej Rosjan i Polaków.

Początkowo były obozy oddzielne dla każdej narodowości, potem nastąpiło wymieszanie. I tak w obozie „Scherf“ prócz Polek przebywały Ukrainki i Rosjanki. Komunikowanie się i wzajemne odwiedziny były wzbronione. Rosjanki potoczno, że towarzystwo Polek, złodziejek i brudasów, jest nieodpowiednie. Polkom tłumaczono, że niższość kultury wschodniej stwarza naturalne zapory w obcowaniu. Nie poprzestano na tym, robiono wszystko, aby wywołał ferment między narodowościami pchnąć je do wyżywiania się w niesnaskach i wzajemnej nienawiści. Toteż, kiedy mimo wszystko między Polkami i Rosjankami zaczęły się rozwijać normalne stosunki sąsiedzkie, zastosoowano faworyzowanie Polek z wyraźnym krzywdzeniem Rosjank: nasze racje żywnościowe zwiększano kosztem racji żywnościowych Rosjanek. Zdarzały się bójki; raz na zawsze doszło do niechęci, zwłaszcza że obóz w 80% drobniomieszkański klaskał w dłoń z uciechy i kądził kucharzowi, w chwilach przelotnego tryumfu. Propozycja kilku Polek, aby przydział rozdać w połowie nam, w połowie Rosjankom, spotkała się z taką pasją, że zatrzała na długi czas i tak ciężką atmosferę obozu.

W fabrykach również występowały różnice w stosunku do grup narodowych. Faworyzowano Węgrów przydzielając ich do lepszej pracy, Czechom dawano lepsze przydziały żywnościowe. Pod ostrą kontrolą byli Polacy i Rosjanie, a Rosjan częstowano dodatkowo sporą dozą lekceważenia i upokarzania ich na każdym kroku. Trafiono jednak kułą w płot. Robotnice i robotnicy rosyjscy zachowywali spokój i pogodę i nie dostrzegali lub udawali, że nie dostrzegają niczego, trzymali się zwarci w gromadzie i można było podziwiać ich odporność. Żyli własnym życiem, trzymali się z dala od Niemców, a Niemcy od nich stornili, nawet komuniści. Przyjaźniejszy stosunek Niemca do cudzoziemca był źle widziany, zwłaszcza u osób z „niewyraźnym obliczem“. A na terenie fabrycznym niesposób było ukryć się, aby człowieka nie rozpoznano. Nieopatrne słowo, niedość entuzjastyczny stosunek do pracy, drobny odruch niechęci do człowieka ze znacznym partii hitlerowskiej i już było źle. Komuniści ginęli masowo w obozach koncentracyjnych.

Była w mojej fabryce kobieta wyglądająca na lat 80. Zdawało się, że za dotknięciem posypie się z niej próchno. Zwracała uwagę jej twarz o barwie ołowiu, oczach mętnych i jakby ślepych, ale o dziwnym uśmiechu. Zdawało się zawsze, że jest czymś mocno ubawiona, lecz trudno było wiedzieć czym. Los nie dawał jej powodu do uśmiechu. Dwunastogodzinna praca, stary wyszarzany fartuch, wykrzywione buty i wieczne pragnienie snu nie pobudzały do wesołości. Od razu zauważyłam, że jest traktowana inaczej niż wszystkie Niemki. Sama dźwigała ciężkie paki z granatami, nie wolno jej było odchodzić od roboty, w fabryce nie jadała nic nigdy, z przerw wracała punktualnie. W ogóle była jak cudzoziemka i to trzeciej lub czwartej klasy. Pracowała tuż za mną, cicha, senna, milcząca. Nie mogłam nigdy znieść dłużej zgiełku fabrycznego i poczucia samotności podczas pracy przy maszynie, śpiewałam więc. Kiedyś zła i zmęczona całą prawie zmianę milczałam. Wtem coś zaskrzyptało poza mną. To stara Niemka upominała się o polską piosenkę. Od tej pory zaczęła ze mną rozmawiać. Mówiła ukradkiem, udając że pomaga przy popuskiej maszynie, opowiadała początkowo niewiele, z czasem dużo i chętnie.

Dowiedziałam się, że mąż jej po sześciu latach męki zmarł w obozie koncentracyjnym za przekonania polityczne. Na wdowę pozostałą z ośmiorgiem dzieci, nałożono żywotny obowiązek pracy w fabryce. Miała lat



# PRZEGLĄD PRASY

Należy przynajmniej, że uczudem głównym przy otwieraniu czwartego zeszytu „Twórczości” jest niepokój. Mimo, że redakcja usiłowała przekonać nas już od okładek, że jest on nieuzasadniony. A może właśnie dlatego... Świętne nazwiska, szanowne wiedza, którą reprezentują, wzbudzające zaufanie celnością sądów, które już nieraz firmowały, podnoszą odświętność i wyjątkowość publikacji. Czytelniczka nader obawa, by dziewięćdziesiąta rocznica śmierci Mickiewicza nie stała się powodem literackiej uroczystości, podczas której zostaną wygłoszone okolicznościowe przemówienia i referaty, wyrażające raz jeszcze to, co jest powszechnie wiadome.

Otóż chcieli by się wszystkich tych, którzy niepokojowi swemu są skłonni zawierzają, powołano jakimś słowem budzącym zaufanie, że wydana została publikacja o ważności kulturalnie wielkiej, nadrzędnej w stosunku do tego, co się dotychczas na rynku księgarskim ukazało.

Wojna uzupełniła naszą wiedzę o nas samych. Rozszerzyła granice odczuwania. Tak w skali osobistej, jak i społecznej. Powiększył się wymiar emocji i pojmowania.

Mickiewiczowski zeszyt „Twórczości” jest przede wszystkim dokumentem, przeżyte narodowych. Publikację w nim bowiem zawarte zdają sprawę z miłojędną wojną bardziej wnikliwie niż utwory literackie, powstałe z nakazu bezpośredniego przeżycia. Ukazują skalę wrażliwości moralnej na konkretnym przykładzie stosunku do tego, który był organizatorem „wyobraźni zbrojnej” narodu. Autorzy „Twórczości” przedstawiają Mickiewicza nie abstrakcyjnie, nie przez przyzmiernienie do norm „istniejących w ogóle”, lecz przez wielkość cierpienia, jakiego naród doświadczył.

Tęsknota za wolnością, męszjanizm, to wszystko co z Mickiewicza czerpał wiek niewoli, stało się dla pokolenia niepodległego rekwiizytem wrażliwości. Z chwilą, gdy tęsknota jest zaspokojona, jej wymiar wydaje się teoretyczną hiperbolią i już go się nie sprawdza. W latach międzywojennych słowo Mickiewicza było za wielkie do wyrażania przeżyć zwyczajnego życia. Wielki poeta oznaczał jednocześnie poetę przeszłości. Potrzeba było słów małych i słowa te były wypowiadane zbliżyły współczesnych do Mickiewicza, że odżyła tęsknota narodowa. Wymiar tych nieszczęść był tak wielki, że słowo o tęsknocie, słowo męszjanizm nie byłoby może nawet usłyszane. Jeśli bódzia potrzeba poezji, to poezji takiej, która zawieralaby ostateczną wiarę umierającego człowieka w nieśmiertelność jego narodu.

„Największy z czujących, on, który zmagał się o samą zasadę istnienia narodu” — pisze w „Twórczości” Julian Przybóś — „był w tych okrutnych czasach najprawdziwiej współczesny obecny. Miescił się obok niego i dzielił z nim naszą wiarę tylko Chopin, równie jak on uczujący, lecz większy oden, doskonałym twórcą. Chopin i Mickiewicz byli organizatorami naszej wyobraźni zbrojnej. I jeżeli muzyka Chopina zbroiła nas moralnie w ukryte wśród róż armaty, okrutne słowo mickiewiczowskie było jak bagnet w natarciu”.

Jeszcze w życiu żadnego pokolenia nie wystąpiła tak wyraźnie, chcieli by się powiedzieć: tak naczalnie, waga mickiewiczowskiego słowa. Gdyż żadnemu pokoleniu (z pokoleniem Mickiewicza włącznie) nie przypadło w udziale sprawdzać własnym losem odpowiedzialności tego słowa. Próba — jakiej ta wojna poddała poezję, była próbą śmierci dla wielu utworów poetyckich, była jednak próbą ostateczną nieśmiertelności Mickiewicza.

Przy Juliana Przybósia zamieszczona w „Twórczości” („Słowo ostateczne”) jest jednym z najcenniejszych sądów o Mickiewiczu, jakie zostały w ogóle wypowiedziane. Przybóś wnikliwie precyzyjnie sponuje współczesnych do Mickiewicza. Wydaje się, jakby swoimi ustami wyraził to, co na jakżeż wielu ustach zamierzało jako ostateczną myśl, do nazwania której życia już nie starczyło.

„Pisz tak, jakby słowa miały być ostatnimi twoimi słowami, jakbyś pisał testament, pisz tak, jakbyś miał za chwilę umrzeć”. Takiego nakazu dostuchać się można w mowie wielu poetów. Tylko słowo zaświadczone całym życiem, słowo-testament czynu, wznosi się do godności tej poezji, co ma przetrwać czas teraźniejszy jego brzmienia. I tylko do poetów mniających takimi słowami zwraca się po wiaty człowiek w ostatniej próbie swojego człowieczeństwa.

Nie było żarliwego Polaka, który by czasu miloniję wojny nie został poddany tej próbie. Jakże słowa go koły i gotowały na śmierć, jakie zdania uchwalały go na meczennstwo? Tych, którzy odrzucili tąwudę ludu pociechy religijnej, podtrzymywała i zbroiła wiara patriotyczna, wiara w naród, w jego nieśmiertelność. Wiarę tę wyraził w słowach ostatecznych, prawdziwych tak, jakby były pierwszymi i ostatnimi na ziemi — Mickiewicz. Największy obok Chopina z czujących Polaków”.

Wiersz „Do matki Polki” był w okupacyjnej nocy słowem, które szepczano przy wigilijnym oplatku. „Księgi narodu i pielgrzymstwa” były modlitwą żołnierza-tulacza na emigracji.

Nie ma chyba w literaturze współczesnej kart tak przejmujących, jak stronica z zamieszczonego w „Twórczości” opowiadania Klawera Pruszyńskiego „Podrzucona księżka”. Mimo wysiłku i uświadomienia sobie, że to przecież przeszłość już, że to przecież literatura tylko — nie można stumić wzruszenia. Spazm chwytła za gardło, gdy słucha się jak żołnierz z polskiej dywizji pancerniej, biorący udział w inwazji sprzymierzonych we Francji, w tych samych dniach, kiedy się odbywa powstanie warszawskie, czyta z „Księgi pielgrzymstwa”:

„Przez meczennstwo żołnierzy zamordowanych w Fischau przez Prusaków.

Wybaw nas, Panie!

Przez krewnych wszystkich żołnierzy, poległych w wojnie z Włochami i Wolność.

Wybaw nas, Panie!

Przez rany, lzy, cierpienia wszystkich niewolników, wygnanych i pielgrzymów polskich.

Wybaw nas, Panie!

O wojnę powszechną za wolność ludów.

Prosimy Cię, Panie!

O broń, o orły narodowe,

Prosimy Cię, Panie!

O grób dla kości naszych na ziemi naszej,

Prosimy Cię, Panie!

Nie można było ukazać Mickiewicza celniej, niż to uczyniła „Twórczość”. Zeszyt czwarty tego czasopisma wniósł stanowić lekturę szkolną we wszystkich gimnazjach i liceach w Polsce. „Twórczość” ukazuje młodzieży Mickiewicza żywego, tego, który towarzyszył naszej rozpaczce w kraju i który na emigracji organizował — tęsknotę. Stanie się on zromantyzował i bliski uczniom, jeśli uświadomi sobie, że ich starsi kolecy, może bracia, odmawiali utwory poety jak modlitwę przed walką. A „Twórczość” uświadomi ich o tym.

Mickiewiczowski zeszyt „Twórczości” sygnalizujemy tylko. Podkreślamy jego główny akcent, podnosimy ważność. Prace o dużej wartości naukowej, które są w nim zawarte, winny stać się przedmiotem szczegółowego wglądu. Tym bardziej, że „Twórczość” publikuje po raz pierwszy nieznaną pisma filomackie Mickiewicza, podane do druku przez Tadeusza Łopalewskiego. Z prac, których po prostu nie zdaliśmy ocenić, wymieniamy: Juliusza Kleibera „Konrad Wallenrod”, Wacława Kubackiego „Monolog Konrada” (jeden z rozdziałów przygotowane do druku monografi III części „Dziadów”) i Leonarda Podhorskiego-Okolowa „Tradycje gdańskie”.

Ponadto w numerze: „Niebieskie koralki”, akt z dramatu Krystyny Grzybowskiej „Promienieści”, oraz Wilhelma Macha „Lud we śnie leży” — okupacyjne spotkania młodzieży z Mickiewiczem.

Główny jednak akcent „Twórczości” położony jest na słowo mickiewiczowskie, które — i ono tylko — może dla współczesnego pisarza stanowić natchnienie w poszukiwaniach wyrazu dla literatury, która będzie.

„Głos tego, który tragedię swojego narodu ujął w kształt tak ostateczny i surowy, że prawda meczennstwa i upodlenia polskiego sprzed stu lat znalazła straszliwie potwierdzenie w dziejach okupacji niemieckiej. Nagość tego słowa, nagłość wyzostocznego młeczka, uczę, jak rozebrać najokropniejszą ranię, by je oczyścić do kości. Po tej wycieście wierne na zawsze sprawozdanie, po doświadczeniu, po nieustępliwej mocy samienia, po doświadczeniu rzecz, a nie pozór, zwracają się dziś obywateli straszności poceli i pisarze polscy” (Przybóś).

# Organizacja bibliotek w U. S. A.

Od dłuższego czasu na łamach pism literackich toczy się dyskusja na temat organizacji życia kulturalnego w Polsce. Wśród poruszanych zagadnień sprawa organizacji bibliotek na nowych podłożach wysuwa się na pierwszy plan. Od właściwego rozwiązania tego problemu zależy upowszechnienie, demokratyzacja dóbr duchowych w Polsce. Stąd warto zapoznać się ze sposobem, w jaki została rozwiązana sprawa organizacji bibliotek w Ameryce, w kraju, którego mieszkańcy pod względem zamieszkania do czytania zajmują jedno z pierwszych miejsc.

Można śmiało powiedzieć, że czytanie w języku Waszyngtona jest niemal obowiązkiem społecznym. Czytają wszyscy — nawet biedacy spędzający noc pod gołym niebem i korzystający ze skąpego światła ulicznych latarni. Došlo do tego, że hotelarze uważali za potrzebne wydać personelowi surowy zakaz czytania w godzinach służbowych pod grozą natychmiastowego zwolnienia.

Do najbardziej znanych i zasłużonych bibliotek w Ameryce należą biblioteki ruchome. Za ich pośrednictwem zdrowo i zajmujące książki docierają do biednych i oosobnionych siedzących robotniczych brymitywnych namiotów kolonistów i chat chłopskich.

W zasadzie korzystanie z bibliotek jest płatne, gdyż według słów pioniera tego ruchu F. A. Hutchinsa jest rzeczą teoretycznie niestudną dawać ludowi „coś za nic”, tj. duchową jałmużnę, jakkolwiek praktyka zna liczne wypadki pokrywania tych kosztów z funduszy publicznych. Trudności duże stwarza odpowiedni dobór książek. Przede wszystkim istnieje niewiele takich, które czyniłyby zadosyć wymogom bibliotek, to znaczy, aby były zajmujące, napisane z wiedzą i talentem. Z pożytku komisje kwalifikacyjne wybrały tylko 2500 książek, których liczbę później znacznie zwiększyły. Z zebranych doświadczeń okazało się, że do komplectów nadaje się wartościowa literatura powieściowa, barwne ilustrowane zyciorysy, podróże i dzieła historyczne, tomiki poezji, przytępane dzieła przyrodnicze. Zazwyczaj biblioteki te nie posiadają katalogów. Dopiero z pism miejscowych ludność dowiaduje się o spisie nadesłanych książek. Do odległych obszarów wysyła się inspektorów, którzy na specjalnych zebraniach prezentują komplety i powierają je pieczy najbardziej chętnych. Gdy weźmie się do ręki jakąkolwiek gazetę czy broszurę amerykańską poświęconą sprawie bibliotek ruchomych, przebiega w nich troska o czytelnika; otacza się nią przede wszystkim dzieł budzący w nich od najmłodszych lat szlachetną żądę czytania. Biblioteka amerykańska — można powiedzieć — sama idzie naprzeciw czytelnikowi, wywyższy się formalności i utrudnień robi wszystko, by ją pokochał, spędzał w niej radosne chwile rozrywki i nauki.

Jeden z autorów amerykańskich zwrócił uwagę, że owo powszechne zamieszanie do czytania zawiadzać należy w dużej mierze szkole amerykańskiej. Otóż w programach tych szkół figuruje mianowicie w Europie przedmiot: nauka użytkowania bibliotek. Dzieci odrabiając lekcje w sali bibliotecznej szkoły postępują się książkami z biblioteki podręcznej w myśl wskazań nauczyciela. Poza tym szkoła posiada wypożyczalnię książek, z której korzystają dzieci, by później zdać sprawę z przeczytanej książki.

Jednocześnie z akcją szkolną prowadzi działalność obywatelską sieć bibliotek dziecięcych. Największa z nich znajduje się w Pittsburgu, ufundowana przez Carnegiego. Jednym ze środków o wielkiej sile atrakcyjnej tych bibliotek jest tzw. „story-hour” — godzina bajki. Co tydzień dzieci gromadzą się około opowiadacza bajki o treści odpowiednio dobranej z arcydzieł literatury powszechnej (np. z dramatów Szekspira, Odysei, Illady itp.). Prelegent ów nie kończy jednak nigdy

opowiadania; biblioteka zaopatrzona jest w odpowiednią ilość tomów danej książki i dzieci po skończonej godzinie spieszą do sąsiedniej sali, by zapoznać się z końcem bajki. Często miejscem posiedzeń opowiadacza bajki jest plac do gier ruchomych, gdzie korzystając ze zgromadzenia dzieci budzi on ich ciekawość i rozpożyca paczkę książek.

Gdy mówimy o bibliotekach, należy jeszcze wspomnieć o tzw. bibliotekach parkowych, cieszących się olbrzymim powodzeniem. Brooklyn zczył się największą taką biblioteką.

To wielkie powodzenie akcji bibliotecznej w Ameryce po części przypisać należy niewątpliwie temu, że w Ameryce odmiennie nadaje się znaczenie pojęciu „bibliotekarz” niż u nas i w ogóle w Europie. Stawia mu się wielkie wymagania. Nie dość jest posiadać się charakteru i zmysł inicjatywy, zapał i dąsłość, ale także trzeba, aby stanął na wysokości zadania, wykazać się wykształceniem zarówno ogólnym, jak i fachowym bibliotecznym, przy dużej umiejętnośći obchodzenia się z ludźmi! Aby można było tym zadaniem sprostać, powstają w Ameryce szkoły dla bibliotekarzy o kursie dwuletnim. Wykłada się w nich administrację biblioteczną, bibliografię, literaturę amerykańską i powszechną historię bibliotek. Dla otrzymania dyplomu trzeba napisać pracę.

Jeśli przyjrzymy się teraz stronie technicznej i organizacyjnej bibliotek publicznych, łatwo dostrzeć, że olbrzymi nacisk położony został na wewnętrzne urządzenia odpowiadające wygodom i potrzebom czytelnika. Dewey, znany bibliotekarz, powiedział, że książki nie stanowią jeszcze biblioteki, są one zaledwie surowym materiałem dla niej.

Biblioteka natomiast wymaga od czytelnika spełnienia czterech warunków: czystych rak, zachowania czysty, nie wprowadzania psów i zdejmowania kapeluszy przed wejściem do biblioteki.

Każdy opłacający podatki ma prawo wstępu; nieopłacający przynosią tylko poręczenie dwóch obywateli gminy, przy czym wszystkie inne formalności są stosowawe. Zwykle biblioteka ma pięć działów: czytelnia gazet; czytelnia wydawnictw periodycznych; dział podstawowych książek z różnych dziedzin nauki (tzw. reference library), wypożyczalnia składająca się z literatury pięknej i wreszcie czytelnia dla młodzieży. Z duża skrupulatnością opracowany jest katalog książek. Zawiera on spis książek zarówno według nazwisk autorów, jak i według treści. Co więcej, katalog posiada obok dzieł danego autora prace krytyczne o nim, różne informacje, z których korzysta czytelnik operując się na wskazówkach bibliotekarzy.

Gdy chodzi o biblioteki w ogóle, to największą najpełniej urządzone posiada Boston. Dla orientacji wystarczy podać ze liczba obsługujących ją urzędników przewyższają personel administracji Muzeum Brytyjskiego. Biblioteka posiada osobną kolejkę do przewożenia książek, 43 stacje telefoniczne, 20 stacji do zamówień książek, czytelnia obsługuje 30 osób itd.

Ow potężny rozwój techniki bibliotekarskiej zawiadzeć Ameryka energią związku bibliotekarzy amerykańskich „American Library Association”.

Byłoby rzeczą niemożliwą, gdybyśmy chcieli tę organizację bibliotek przeszedzić na grunt Polski. Pomijając inne względy przede wszystkim dlatego, że wymagałoby to olbrzymich kapitałów. Z doświadczeń i wzorów amerykańskich możemy wziąć jednak, a miałyby: by biblioteka nie była składem martwym książek, a bibliotekarz nie spełniał w niej mechanicznych czynności subiekta handlowego, lecz pracował umysłowo w żywej, kształcącej instytucji, dla której nazwa „uniwersytetu dla ludu” nie byłaby przesadą.

Jaromir Ochęduszek

# Początki rewizji

Prace Instytutu Zachodniego. Nr 3. Zygmunt Wojciechowski. Polska-Niemcy. Dziesięć wieków zmagania. Z 16 mapkami. Poznań, 1945; str. 267 i 1 nl.

Redycja pracy wydanej po raz pierwszy w roku 1933, po raz drugi w czasie okupacji, ze zmianami w każdym wydaniu. Dobry znawca przedmiotu, ceplony w naszej nauce badacz ustroju Polski w okresie wcześniejszego średniowiecza i politycznej historii za pierwszych Piastów („Polska nad Wisłą i Odrą w X wieku”) — daje przetrzyszyt przegląd spraw polsko-niemieckich do naszych dni. Synteza, w którą weszły wyniki własnych badań autora i rezultaty współczesnej nauki — wiera wyraźne pierwiastki publicystyczne, co i jej zaletą. Zgo nie z założeniami szkoły, z której pochodził. Wojciechowski obraca się w kręgu spraw politycznych i ustrojowych. Trzeźwo, wyraźnie racjonalistyczny umysł, a nie wyobraźnia, zamienia tu i tam konstrukcję jego wszystkich prac, którym Wojciechowski wysunął się na jedno z pierwszych miejsc w naszej nauce historycznej, stanowi równie cenne omawianej publikacji. Można w tym u- prytować zaletę, gdyż nadmiar wyobraźni doprowadza do nie dających się skonstruować teorii w rodzaju Maksymiliana Gumpłowicza, choć niezawodnie wnosi szersze, ozywce tchnienie i otwiera rozległe horyzonty.

Wojciechowski zwalczył niejedną sugestie nauki niemieckiej i przyczynił się do odparcia niejednego jej uroszczenia, np. tezy o normalskim początku państwa obalonej przez naszą naukę i zarzuconej ostatecznie nawet przez Niemców. Zasługą Wojciechowskiego jest oświetlenie zasadniczego znaczenia Odry i Ziemi Lubuskiej w rozwoju stosunków polsko-niemieckich. Innym razem w ślad za dowodami dostarczonymi przez naszą naukę autor czy słusznie odróżnia „prawo niemieckie” od kolonizacji niemieckiej, popularyzując tezę o kolonizacji dokonywanej żywiolem rodzimym. Nawet jej forma niemiecka sprowadza się w istocie do zgola nie-niemieckiej genealogii, pochodzi bowiem z ziem fiamandzko-holenderskich, jak to wskazał Stefan Ingłot. W obrazie Wojciechowskiego znalazło się też miejsce dla — jeszcze wciąż polowicznych — wyników rewizji polityki Kazimierza Wielkiego, która wcale nie zamykała projektów polskich do ciałnych ram układu sukcesyjnego z Andegawenami, lecz celując do ujścia Odry, przygotowywała następstwo księcia szczecińskiego w Polsce, jeżeli nie od razu, to po Ludwiku Węgierskim.

W ogóle Wojciechowski ma zrozumienie dla potrzeby rewizji poglądów na wiele spraw. Więć kojęć możliwości otwartych przez Grunwald porozumieniu polsko-czeskiemu, zmarnowanych ze szkoda całej Stowiaszczyzny. „Byłoby to wielkim uszczerbkiem dla wszystkich krajów niemieckich, wielkim nieszczęściem, od którego niechaj Bóg ochroni!” — rozumiał Kasper Schlick, kanclerz Albrechta Habsburga. Ale Wojciechowski zatrzymuje się w połowie drogi w analizie przyczyn i sił, które stoperdowały rozległy, realny program XV wieku. „Ten odłam, który był husytem przeciwny” — wołał pchnąć następcę Jagiellów na Węgry, „w młynek walki między kończącym się ruchem soborowym a stolicą papieską” i zbędne, ze stanowiska interesów Polski niepożądane konflikty z Turcją. Jakż to odłam, tak na gucho wspomniany? Nazywając rzeczy po imieniu: kościół, Zbigniew Oleśnicki, którego nazwisko nie znalazło się w syntetycznym obrazie Wojciechowskiego. Ten sam możny czynnik, który z konsternacją spoglądał na kurs polityczny Kazimierza Jagiellończyka, gdy ten zmleczł do likwidacji złośliwego nowotworu krzyżackiego. Etyka naukowa o którą pisze autor we wstępie do swej książki, nie pozwala na przemilczanie prawdy i nakazuje uderzenie z całym rozmachem w jedno z najsłabszych miejsc naszej historycznej nie prawdy, lecz legendy. Niezwykle więc zgodne jest z rzeczywistością, co pisze Wojciechowski, że do chwili związków Zygmunta III z jezuitami „nie było jeszcze kolizji między katolizmem a interesem narodowym”, bo kolizje były i to bardzo kosztowne.

Konsekwentniejszy jest krytycyzm w stosunku do Zygmunta Wazy. Ow niepospolity szkodnik w koronie wyszedł dość smutno spod pióra Wojciechowskiego za zmarłową okazję rewindykacji Śląska i udzielenie Wiedniowi Habsburgów pierwszej odsieczy. „Polska miała dwa wyjścia: albo zachować się wobec wrota cesarza z Czechami i Bełhemem (Gaborem, wderkoduwaną do udziału w wojnie. Jagiellowie byłiby obrali zapewne pierwszą ewentualność — Zygmunta nie obrał żadnej z nich. Stałabym bowiem czynnie po stronie habsburskiej, ale bez żadnych realnych gwarancji, a w dodatku na własny koszt”. I tak, nie zasiadają na tronie polskim. Habsburg używał polskiej siły wbrew nie-dawno usłyszanej przestrożce Zamojskiego: „dopki ja żyję, nie ma żadnej drogi do tego królestwa Austriaków, jeśli umrę, mogą kazać zrobić most z moich kości, inną bowiem drogą nie dostaną się do Polski”.

Polska doba wojen krzyżowych, długie średniowiecze przeżywała u nas w XVII wieku (świetne określenie Wojciechowskiego dla arcyśmiutych czasów ugruntowanych w Polsce przez Zygmunta Wazę) — przedstawia obiecujące pole dla rewizjonizmu historycznego w stosunku do okresu, w którym „system Jagielloński był przewrócony na opak”.

Bardzo logicznie przewija się u Wojciechowskiego teza, że zabór Ziemi Lubuskiej przez Brandemburczyków i wbitę pomiędzy Polskę i Pomorze Zachodnie klin Nowej Marchii oraz enklastyczny ujemno-pruska wraz z utratą Śląska przesądzały ujemnie rozwój spraw polskich. Tak samo wypadnie przyjąć zasadniczą korekturę w wywodzie sytuacji rozbiorowej, którą zdaniem Wojciechowskiego była gotowa między rokiem 1648 a 1740. Uzyskując w pokole westfalskim Pomorze Zachodnie a w roku 1720 Szczecin, dostawała Brandenburgia warunki do marszu nad środkową i górną Odrę, dokonane go przez Fryderyka II.

Można by jednak o tę bystrość spojrzenia i wnikliwość, dzięki której tradycja historyczna, świadomie podtrzymywana i podbarwiona przez historiografię ustąpił miejscem zrewidowanemu na rzecz wprawdy poglądom, wspomnieć się w wielu innych rzeczach. Tak więc rok 1015 potraktywanym jest u Wojciechowskiego wedle szablonu, jakkolwiek autor uważa Prusy za głównego rozbiorec Polski. Jakż nie trudno wykazać, że jeden Aleksander żywił plan odbudowania całej Polski, związanej unią z Rosją, a Anglia utraciła i wzpnieł się sprawy polskiej w pełnych rozmiarach wytrawną grą dyplomatyczną, dla niepoznaki ostonięta zwodniczym frazesem o sympatiach dla Polaków. Wojciechowski, który jest dobrym znawcą średniowiecza, porusza się ze swobodą i w późniejszych okresach aż do współczesności. Nie w braku znawstwa zatem, ale w zahamowaniu, nie dość jeszcze rozbitych tradycyjnym skrepowaniem, trzeba dopatrywać się przyczyny, że do zaradec nowego czasu dołbera stare klucze: Jana Ludwika Popławskiego, Zygmunta Balickiego, Dmowskiego. Choć trzeba przyznać, że niejedną arcygadną myśl można u nich przeczytać. „Czas już zerwać z tradycją, która panowała za Jeremielem Wiśniowieckich, a na pastwę katom niemieckim oddawała Kalksteinów (Kalkstein, przywódca opozycji pruskiej, był porwany przez Elektora z Warszawy — przypisek nasz). Czas już po tylu wiekach błąkania się po manowcach wrócić na starą drogę, którą ku morzu trzębiły krępkie dionie wojów piastowskich” — pisał np. Popławski.

Ale Dmowski nie jest bohaterem naszych dni. Aby je rozumieć naprawdę, trzeba ZSRW wyznaczyć o wiele więcej miejsca i większą rolę w gruntownej analizie obecnego układu i systematycznym wykładzie politycznych myśli — aniżeli robi to Wojciechowski.

Mimo to wznowiona, choć niedość gruntownie uzupełniona w duchu współczesności książkę, można powitać z zadowoleniem.

Józef Sieradzki

# Styl zachodni

Rolę polemisty głównego przydzielono w „Tygodniku Powszechnym” p. Stefanowi Kislewskiemu. Pisarz ten, będący wyborem znawcą muzyki i choreografii, jako publicysta bliższy czasem pomysłowości, zawsze temperamentem, rzadko zaś zrównoważeniem sądu. Ostatnim razem p. Kislewski wkroczył w rubryki uszczypliwości i drwiny („Pod włos”) w rozważania poważne w związku z artykułem Mieczysława Włoczcza „Rozumna przyjaźń” („Odrodzenie”, nr 49).

Do pewnego stopnia p. Kislewski ma poczucie rzeczywistości (w ogóle odnosi się nieraz wrażliwie, że jest opozycjonistą z obowiązku) i widzi rzeczy zdrowo.

Ale ze zdumiewającą gorliwością i zapoznaniem elementarnej myśli o postępie społecznym bierze Kislewski w obronę... nasz ustroj rolny z okresu przed reformą:

„Z tym feudalizmem to gruba przesada: wielkie majątki w Polsce nie stanowiły decydującej ilościowo części naszych terenów rolniczych”.

Nie?

Przypomnijmy: Na 37,9 milionów ha ziemi użytkowej, 21,3 miliona ha należało do ludności wiejskiej, a 16,6 miliona ha stanowiło majątki obszarne. Wynosiło to 43,8% ziemi użytkowej. Wspomniame 21 1/2 milionów ha dzieliło się między 3 1/2 miliona gospodarstw chłopskich, na których gnieździło się 20 milionów ludzi. W klasie gospodarstw obszarnej licznosci — na z gró 16 1/2 milionów ha — 19 tysięcy gospodarstw i 110 tysięcy gospodarzy ludności. Mały Rocznik Statystyczny za rok 1939 podaje na rok 1931 liczbę gospodarstw o powierzchni ponad 50 ha na 14,700 a liczbę ludności w tych gospodarstwach na 57.300! Tak informuje państwo, na pewno w kierunku radykalizmu nie inklinowana „księga ubogich”. Wróble na dachach ćwierkały i uczniowie w szkołach recytują z dobrej pamięci, że przeciętnie na jednego chłopca przypadają jeden hektar, natomiast na każdego członka rodziny obszarnej 145 ha!

Cóż dziwnego, że kanon starego porządku uległ wstrząsowi w odczuwaniu moralnym. Ze niezrozumiały wydaje się wczorajszy porządek rzeczy, w którym miliony chłopów naszego kraju skazane były na dochód wyrażający się w 15 groszach dziennie, a wegetujący w nędzy szary chałupnik z armii pracowników przemysłu nakładczego staje się wyrzutem ówczesnego dnia, prowokującym sumienie społeczne. Usuniecie tej paleontologicznej struktury pokrywanej fikcją demokracji prawnej, innymi słowy przeprowadzenie reformy rolnej dokonano się jak pniecie katarzatek, wezbranego ropienia i nowy stan uznawany jest najpowszechniej za rzecz naturalną, jedynie możliwą.

Więc jak wygląda w tym świetle „gruba przesada” o „tym feudalizmie” i sentymentalne westchnienie p. Kislewskiego za „wielkim majątkiem w Polsce, które nie stanowiły decydującej ilościowo części naszych terenów rolniczych”?

Co najmniej niedorzeczne, jeżeli przyjąć hipotezę o niedostatku wiedzy o współczesnym świecie. Wobec takiego stopnia postępowości, zdradzonej przez p. Kislewskiego w poglądzie na ustroj rolny, zastępuje na pełną niewiarę zapewnienie jego, że „Jeśli chodzi o reformy społeczne, to na pewno olbrzymia większość społeczeństwa docenia ich konieczność”. Jeżeli dokonane by były na obraz przytoczonej przez nas próbki poglądów, gotowa z nich wyjść kontrreformacja społeczna.

Dochochł do tego niekompetencja. „W Polsce ustroju kapitalistycznego nigdy właściwie nie było, bo byliśmy krajem zacofanym i biednym”. Więc co było? Naiwnego ekonomistę trzeba by zapyać od jakiego stopnia zamożności liczy kapitalizm? Ile dziesięcioleci zastrzeżone jeszcze dla ikarowego stopieć pięknej, porwijającej formacji gospodarczo-społecznej? Zachwyłt dla niej p. Kislewski i zaufanie do młodych sił, tkwiących w kapitale finansowym sięga tak daleko, że nie wątpi, iż nie na Zachodzie nie wskazuje na zmierzch „demokratyzm-mieszczańskich” form rządzenia”. Królówie nafty, stali, węgla, do których tęskni nasza kottneria za ładą i nad biblią, mogą spać spokojnie.

W ogóle genialny jest ten wielki kapitał anglo-amerykański. Przecież „wainie przyczynił się do wygranania wojny z Niemcami”. Przyczynił się. Teraz wszelako, też wainie opukuje wszystkie miejsca, w których pachnie naftą, bierze na oko złoza czarnego diamentu i co cenniejsze dobra powszednie natury. W Ploesti, nad Odrą i gdzie indziej. I rozmiłowany w wolności p. Kislewski, chorujący na samą myśl o przemocy („w kraju naszym nie da się nic nie przeprowadzić”) — ani się domyśla, że idąc w ślepiące światło wielkiego kapitału, gotów oknąć się w zaleźności, w sytuacji mieszkanka zawieszego kraiku lub zgola kolonii, i dopiero wtedy poczę „o co właściwie chodzi”, — uwiedziony i zbataumony piewca „zachodniego stylu”.

Na razie jednak będzie miał p. Kislewski polklask — naszego czarnogieldziarskiego światka pod arkadami Sukienic i wokolo.

# Prośba

P. Zofia Zawiszancka uprzytamnia sobie i drugim zgrubność drogi, na którą wkroczył świat z postępem techniki i atomowa bomba, stawiająca ludzkość przed „alternatywą”. („Tygodnik Powszechny”, nr 36): „Albo ludzkość przetrworzy się i odrzuci moralnie — teraz właśnie i za wszelką cenę — albo istnieje kompletnie i to w krótkim czasie”.

Zdaniem autorki katastroficznego artykułu „tylko w chrześcijaństwie tkwi zagubiony klucz ocalenia świata”.

„Teraz właśnie ostatnia pora, aby wydobyc cały dynamizm ukryty w Ewangeli, aby rozwinąć bogate możliwości naszego wieku w dwóch encyklikach papieskich. Wymaga to całego ogromu pracy: wewnętrznej, programowej i realizacyjnej. Wymaga harmonijnego współdziałania wielu rozmaitych zespołów ludzi wybitnych, a dobrze przygotowanych, dla których ta właśnie idea stałaby się celem życia...”

Trudno sobie wyobrazić taką dzieło bez wybitnego udziału Polski, w duchu jej tradycji rycerskiej i twórczej. Nasz wielowiekowy wkład w kulturę ludzką, teraz właśnie zająścnieć może pełnym blaskiem, jeżeli tylko potrafimy pogłębić go i rozwinąć wedle potrzeb nowej epoki. Nasz charakter narodowy zdaje się predestynować nas do tego, byśmy ostrzegali świat na tym groźnym rozstaju i wytyczali mu swoją intuicją kierunek zbawczej drogi.

Wszystko wskazuje, że czasu na to mamy już niewiele. Na przestrzeni jednego, najwyżej dwóch pokoleń może się zdecydować los całej ludzkości: czy stanie się inna, lepsza, czy w ogóle może istnieć przestanie? A najbliższe już lata powinnyby okazać, co z nas wydobędzie potężny nacisk tej alternatywy...

Prosimy o odpowiedź na następujące pytania:

1. Jaki dynamizm ukryty w Ewangeli pora wydobyc?
2. Które dwie encykliki trzeba rozwinąć? Czy jest wśród nich skąpa encyklika „Mit Brennender Sorge”?
3. Jak można pogłębić blask i rozwinąć go? Czy w ogóle podobna? Zwłaszcza w duchu tradycji rycerskiej?
4. Skąd pochodzi nasza osobliwa predestynacja do ostrzegania świata?
5. Jak wytycza się drogę intuicją?
6. Ile dokładnie lat dano nam do objawienia świata, co czynić należy i której drogą?

Do czasu odpowiedzi wstrzymamy się od rozpaczliwej ucieczki w życie „ubogie może ale o ile zdrowie i bezpieczniejsze”, od wyboru kozy Gandhiego oraz powrotu do kotowrotka.

W zamian za grzeszoną ofiarujemy z góry z naszej strony informację: rekomendowany przez p. Zawiszanckę Carrel, który w obawie o losy ludzkości zalecał cenzurę wynalazków, był zwolnikiem, żeby tak powiedzieć, totalnej cenzury: wielbił Mussoliniego. O czym przeczytać można w jego własnej książce „Człowiek, istota niezłana”.

# Życie muzyczne Krakowa



**ZYGMUNT LATOSZEWSKI**  
dotychczasowy kierownik i główny dyrygent  
Filharmonii krakowskiej objął stanowisko dy-  
rektora Opery w Poznaniu.

## Wstyd

Dziewięćdziesiąta rocznica śmierci Mickiewicza minęła 26 listopada. Cała prasa literacka uczyła ja... milczeniem. Zabrakło niemal wszystkich głosów. „Kuznica”, „Odra”, „Tygodnik Powszechny”, „Dzisiaj i Jutro”, „Więść”, „Życie Literackie”, „Zdrój”, nawet popularny „Przekrój”, który nie może u sprawiedliwiec się zamyslić, nie znalazły miejsca dla Mickiewicza.

Nie wyciągamy wniosków ostatecznych, wierzymy, że błąd zostanie naprawiony, lecz niedbalstwo wymaga napiętnowania.

Milczenie to jest wydarzeniem literackim tak wielkim, że aż bezprzykrytym. Wiemy przecież dobrze, że jaka pieczęlowość przestępstwa są rocznice nie tylko wielkich, ale przeciętnej miary zdarzeń kulturalnych w świecie.

Pamiętamy jak Francja obchodziła w 1939 roku trzecie rocznice Racine'a. Cały ruch wydawniczy, repertuar teatralny, były pod znakiem autora „Festyn”. Ale co? Racine? Drobne rocznice literackie, jak niedawna Anatola France'a, są powodem odnowienia poglądu na pisarza.

W ZSRR każda rocznica Puszkina jest pretekstem do ponownego wglądu w twórczość poety, do zbliżenia się doń. Mało tego, w ZSRR rocznica Mickiewicza, wywołuje większy niż w Polsce odźwięk.

A u nas? Teatry, czasopisma literackie, Ministerstwo Kultury i Sztuki, Ministerstwo Oświaty oraz Ministerstwo Informacji i Propagandy po prostu zapomniały. Wstyd!

## Pastor angelicus

Według rzekomego prokuratora św. Matcziasza papież obecny ma przydomek: pastor angelicus.

Przez prasę i radio przesunęło się ostatnio kilka wiadomości z „Città del Vaticano”: 1) Pius XII wygłosił mowę, że Niemcy są odpowiedzialni za zbrodnicze wyzbrodzenie ofiarom obozów koncentracyjnych, odmawiali bowiem pomocy religijnej; 2) Niemcy mogli rozpocząć normalne warunki życia i uzyskać pomoc; 3) Pius XII udzielił wywiadu, w którym ubolewał nad „naprawdę strasliwymi warunkami”, w jakich wysiedlono Niemców z ziem sudeckich i ziem przyłączonych do Polski; 4) Pius XII z okazji „stulecia apostołskiego” w Madrycie udzielił błogosławieństwa generałowi Franco; 5) Pius XII wygłosił orędzie do narodu niemieckiego, obiecując mu pomoc i wzywając Niemców do meznego przetrwania ciężkich chwil; 6) Pius XII przyjął na audiencji kilku generałów polskich z Wiadomościem Anderssem na czele, mówiąc, że jest szczęśliwym z przyjemnością o sobie, otył, drogi, jest „szczęśliwym z racji tych i podobnych występów znowu pod adresem głowy kościoła katolickiego dają się słyszeć zatosne wyrzuty i gorzkie westchnienia. Nie bardzo rozumiejąc dlaczego, Pius XII postępuje według wymagań polityki watykańskiej (zgodnej w tym wypadku z jego osobistymi uczuciami, co nadaje jego wystąpieniom ciepły i sympatyczny wizerunek bezinteresownej żarliwości — i stanowiąc trzęsienie w obronie Pius XII nie mógł postępować inaczej niż postępować — pod tym względem zupełną rację ma „Rycerz Niepokalanej” i inne pisma. Polityka kurii rzymskiej ujęta jest w zelandnie prawidła i dyktowana wyłącznie interesem ziemskiego kościoła. Gdy chodzi o problemy zasadniczej wagi, muszą umilknąć względy uboczne. Ani wiec Grzegorz XVI nie był jakimś odchyleniem od właściwej linii Watykanu, ani nie jest nim dzisiaj Pius XII. Trudna obrona interesów kleru w państwie prawosławnego cara słusznie wykluczała awanturzenie popieranie podejrzanych polskich buntowników — wczoraj zadanie zdobywca dla kleru względnie chimerycznego Hitlera było na pewno ważniejsze niż nieprzykryte (a więc nie celowe) manifestowanie obrażonych uczuć — na dziś problem rozwoju politycznego katolicyzmu w Niemczech jest na pewno ważniejszy niż spóźnione (a więc nie celowe) słowa potępienia pod adresem wczorajszych wladców. Polityka Watykanu jest mądrą, wytrawną polityką, najlepszy dowód, że przez tyle wieków sterowała z powodzeniem łodzią Piotrowa, chroniąc ją wśród burz od potępienia. Starość i słabość fizyczna wymagają rozwagi, ostrożności, ustepliwosci. Tego nie rozumieć, na to się zrywać mogą tylko niepoprawni marzytiele, natury niepolityczne i naiwne. Nie nam, doczesnym, sądzić postępowanie kurii, kierowane odwieczną mądrością. Polska była zawsze i jest „najwierniejszym sługą kościoła” i to nam winno wystarczyć. Zresztą Ojciec Święty nie zapomniał i o Polsce. Jak widać z „Rycerz Niepokalanej” (nr 2) Pius XII pisał w czasie wojny „podręczniki teologiczne dla kleryków, pewna ilość wina mszalnego oraz słodyczy i owoców dla biednych dzieci”, a dla jeńców polskich w Niemczech wydał „wielką ilość modlitewników polskich”. Więc czemu narzekamy?

Jaszcz

Zaprenumerować „ODRODZENIE” można w każdym urzędzie pocztowym za pomocą przekazu pocztowego. Prenumerata miesięczna wynosi 21 zł., kwartalna 63 zł. Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

Pierwszy po sześciolatniej przerwie wojennej koncert Henryka Sztompki odbył się przy tłumnym udziale publiczności, tym więcej, że był to recital poświęcony wyłącznie utworom Chopina, z którego stylem żył się Sztompka, jako wykonawca, szczególnie blisko. Im bardziej oddala się od nas w czasie dzieło Chopina, tym więcej różnorodnych aspektów zdaje się odsłaniać, przede wszystkim poprzez coraz nowe style odtworcze, które pojawiają się z każdą generacją. Bo to jest faktem niezaprzecznym: istnieją dziś rzeczywiście różne style wykonania muzyki chopinowskiej, różniące się między sobą dość znacznie. Dawne sentymentalne rymowanie Chopina, ta gra utkana z samych jakby szeptów i westchnień zanika coraz bardziej, a w jej miejsce pojawia się zrozumienie dla czysto muzycznych walorów muzyki Chopina; nie lęka się ono mocnych akcentów rytmicznych i dynamicznych i siły dysansu w chopinowskiej harmonice, a nade wszystko owej olbrzymiej dynamice wewnętrznej, która przepojona jest ta muzyka. Który z tych stylów wykonawczych bliższy jest Chopinowi — jako pianista — trudno to rozstrzygnąć wobec faktu, że tradycje pianizmu chopinowskiego doszły do nas w formie bardzo niepełnej. Pewne jest natomiast, że właśnie ten drugi Chopin jest nam bliższy. Bo nie jest to — o ile do zadań tych zbliża się wykonawca współczesny i uczący — fałszowaniem dzieła muzycznego, ale tylko ukazaniem jego nowych aspektów.

Interpretacja Sztompki jest niewątpliwie interpretacją współczesną. Tetni i pulsuje mocnym, zdrowym rytmem, żywą dynamiką, rozkoszuje się bogactwem szczegółów pianistycznych, usuwa z Chopina wszelki sentymentalizm. Traktuje tę muzykę ściśle obiektywnie (czego najlepszym dowodem było trafne ujęcie „Mazurków”), umie wydobyc z niej jednak jej specyficzny liryzm: oba „Nokturny” zagrane były bardzo pięknie, podobnie i trio z „Marsza żałobnego”. Bardziej odpowiada Sztompce architektura małych form niż wielkich: rozplanowanie konstrukcji „Fantazji” np. nie we wszystkim było zrozumiałe i przekonywujące, jak też i czysto dźwiękowo jego forte nie dorównywa bardzo pięknym, nasyconym i miłym pianom. Mimo to Chopin w ujęciu Sztompki jest żywy i niekonwencjonalny.

Pierwszy koncert filharmoniczny urządzony przez nową dyrekcję (J. Maklakiewicz) był zarazem pierwszym występem Waleriana Bierdajewa, który dyrygował w Symfonii Beethovena i „Bajka” Moniuszki. Zastępował, długoletni kapelmistrz Filharmonii i Opery warszawskiej, wykształcił całe pokolenie młodszych dyrygentów; teraz powołany został do Krakowa jako pierwszy dyrygent Filhar-

moni i jako profesor w klasie dyrygentury Wyższej Szkoły Muzycznej. Jego wielkie doświadczenie i znajomość techniki dyrygowania upoważniają do najpiękniejszych nadziei, jeśli idzie o dalszy rozwój i szkolenie naszej orkiestry. Pewność w opanowaniu zespołu, celowe i konstrukcyjne racjonalne rozłożenie światła i cieni w orkiestrze, akcentów napięcia i odprężenia, wyciągnięcie z każdego instrumentu maximum jego możliwości dźwiękowych składają się na ujęcie całości w pełni przemysłane. Znakomitą koncepcją chopinowskiej orkiestry dał Bierdajew w akompaniamentach do koncertu c-moll Chopina: ściszona, świadomie potraktowana jako czynnik drugoplanowy w stosunku do fortepiana, była w zupełnej zgodzie z koncepcją kompozytora; na ogół dyrygenci traktują orkiestrę chopinowską bez tego subtelności rozumienia jej specyficznego brzmienia, co oczywiście wpływa ujemnie na całość utworu. Tym razem całość ta była idealna: partia solowa wykonana była przez Zbigniewa Drzewieckiego z wysokim poczuciem stylu chopinowskiego. To był także nasz dzisiejszy Chopin, którego współczesne ujęcie wyraża się przede wszystkim w delikatnym, a jakże plastycznym obrysowaniu arabski melodycznej, w równomiernym wydobyciu jej we wszystkich głosach, w subtelnym przeciwstawieniu tak często skądinąd nadużywanego „tempa rubata” i rytmów taneicznych (III część koncertu), we wspaniałym pogiębiendiu liryzmu części drugiej.

Oba ostatnie niedzienne „poranki filharmoniczne” prowadził młody kapelmistrz Tadeusz Wilczak, znany już Krakowowi z koncertów w ubiegłym sezonie. Jest to niewątpliwie dyrygent bardzo zdolny, jak tego dowiódł choćby koncert muzyki słowiańskiej: trafnie uchwycony i oddany został kontrast akcentów lirycznych i dramatycznych w uwerturze do „Marii” Stankowskiego, ładnie wydobyte niektóre szczegóły harmoniczne i dźwiękowe w Symfonii IV Dwojaka, kompozycji mającej szczerą inwencję, lecz bez szerszej linii konstrukcyjnej. W całości dawał się jednak odczuć pewien brak przygotowania (stały rozkład koncertów symfonicznych na piątki i niedziele nie jest korzystny, ze względu na brak dostatecznej ilości prób dla niedzielnej poranku). Fr. Schenker, który po długiej przerwie wojennej wystąpił jako solista z koncertem Czajkowskiego, odniósł pełny sukces artystyczny: rozporządza ładnym, dobrze zróżnicowanym tonem i doskonale wyrobioną techniką oraz wybitną muzykalnością. Nie wątpimy, że Schenker zajmie jako solista jedno z pierwszych miejsc wśród naszych skrzypków, których na tym poziomie posiadamy w tej chwili w Polsce tak niewiele. Stefania Łobaczewska



**HENRYK SZTOMPKA**  
z dużym sukcesem grał utwory Chopina na koncertach w Warszawie, Krakowie, Katowicach i innych miastach Polski.

## Skisły Kisiel

Czymże byłby „Tygodnik Powszechny” bez ob. Kisiela, od którego wszyscy zaczynamy czytać i interesujemy się nim? Ob. Kisiel spełnia w „Tygodniku” bardzo cenną rolę, bo to i podmaść się można i sprawdzić w jego krzywym zwierciadle prostolinijność własnego stanowiska.

Ale że się dzieje, gdy wesoly Kisiel zmienia się w namaszczonego Stefana Kisielewskiego i ima się politycznych rozważań. W nr 36 „Tygodnika” polemizuje Kisielewski z artykułem Mieczysława Wionczka „Rozumna przyjaźń” ogłoszonym w „Odrodzeniu”. Zwalając argumenty Wionczka, że „Odra jest granicą Słowiańszczyzny i stąd wspólny słowiański interes i wspólna polityka”, uważa Kisielewski, że to argument „raczej oparty na przesłankach uczuciowych niż rozumowych”. Kisielewski jest wielbiciele Anglików i na pewno nie przypisuje im uczuciowości w polityce. Czemuz więc zapomniał o znanej tezie angielskiej, iż „granica Anglii jest nad Renem”? Analogii nie muszę chyba wyjaśniać?

Wnikając wzrokiem głęboko za kulisy i tam dokąd wzrok normalnie nie sięga, umie jednak auto., gdy trzeba, przyznać jedno lub nawet oboje oczu. Obawy przed możliwością rychłego odrodzenia fałszywym niemieckim są dla niego „mrzonka, wyjątkiem urazu psychicznego, wynikiem niedołężności myślenia kategoriami przyszłościowymi”; „Jaka reakcja i wstępnictwa społecznego w Polsce” — jest dla niego „rzekoma”. Toteż wreszcie wyłaziłszy z worka: „obecna sytuacja polityczna w Polsce (zwana przez Wionczka „demokracją ludową w przeciwstawieniu do normalnej demokracji mieszczańskiej”) — pisze autor. Tak Kisielewski zmienił się w Kisiela i powracamy do przyjemnych w czytaniu „pod włos”. W interesie wdzierających czytelników i samego Kisiela życzymy sobie i temu, by pozostał wierny swej rubryce i wypadków do rubryki „serio” nie powtarzał.

Jaszcz

## Niespodzianka

Przyjemnie jest spotkać przeciwnika politycznego, który posiada wyraźne zarysowanie, jak się to powszechnie mówi, oblicze ideowe, jest świadomy swoich dążeń i ma cel przed sobą. Rozmawiając z nim nie trzeba zadawać głupich pytań w rodzaju: „jaki jest pański stosunek?”, „co pan myśli?”, „lecz od razu przystąpię do istoty sprawy: „co słychać?” O toż miło jest nam stwierdzić, że p. Stanisław Dzikowski jest takim właśnie przeciwnikiem.

P. Dzikowski posiada subtelnie wypracowany pogląd na świat. Nie jakiś tam ciasny, jednostronny, którego przyjęcie wykluczałoby próbę przeciwnego. Materializm i idealizm, empiryzm i irracjonalizm, wszystkie w ogóle izmy znajdują w nim zastosowanie. Umysł? — No oczywiście. Nonsens? — Jakżeż by nie! Czyż „wszystko na tym świecie ma być zrozumiałe, umyślnie ludzkim objęte”?

Jest w tym zdobywczynie, której nie można lekceważyć, tym bardziej, że i nazwa jest pięknie brzmiąca: „neopozytywizm”. A myślny myślenie... Co prawda, myślny o p. Dzikowski szczególnie nie rozmyślał.

Ta wszechstronna teoria stwarza warunki do przyjmowania postawy doskonałej. Cóż my? „Stoimy na baczność i milczymy”. Nawet „Tygodnik Powszechny”, chociaż kłęczy i krzyczy, czyni to „bardzo cichutko”. Tu trzeba inaczej. I rzeczywiście p. Dzikowski zajął postawę leżącą i krzyczy bardzo głośno.

Otoż jedyne zastrzeżenie, jakie mamy: krzyczy za głośno. Tu uniemożliwia słyszenie. A warto by było, żeby niekiedy posłuchał. To się może każdemu przydać. Chociażby po to, żeby krzycząc z sensem. Wierzymy, że chwila skupienia wystarczy, by p. Dzikowski usłyszał nasze zdanie np. o Boyu Żeleńskim, którego nie tylko nie „likwidujemy”, ale którego poglądy uważamy niejednokrotnie za własne. Dowodem na to są liczne przedruki w naszym piśmie artykułów tego znakomitego pisarza.

Leżąc w ogóle p. Dzikowski sprawił nam miłą niespodziankę. Tylko dlaczego tak późno? Dlaczego dopiero „Gazeta Ludowa” w dniu 19 listopada ujawniła nam te ważną i godną naśladowania postawę ideową? Oczywiście lepiej późno niż wcale. I cała przyjemność po naszej stronie.

Bień.



**NUTROMALT**  
Wskazanie dietetyczne dla dzieci i niemowląt  
DR. A. WANDER S. A. KRAKÓW  
Do nabycia w aptekach i drogeriach

## Przeegląd teatralny

Teatr Powszechny im. Żołnierza Polskiego wystawił „Moralność pani Dulskiej”. Przed nim zrobili to w ostatnich miesiącach na terenie Polski trzy inne teatry. I nie ma się czemu dziwić. „Dulska” jest najlepszą naszą komedią nowych czasów. Komedia, od której każdy winien zaczynać swoje teatralne wykształcenie. Komedia — elementarna. Śmiało ją można grać wciąż, nie tu, to gdzie indziej. Boy radził, żeby w specjalnym teatrze im. Zapolskiej, który by się wydoskonalił w jej sztukach. A nawet wyznaczył do tej roli określony teatr — krakowski „Bagatele”. Ale innego było zdanie jej gospodarza, a więc przed wojną Marian Dąbrowski (z „IKC”), podczas wojny Niemcy, a teraz kinofakcja. Ze mianowicie zamiast teatru — Zapolskiej, nie Zapolskiej — zawsze jest lepsze kino.

„Dulską” zatem dobrze grać, lecz co można o niej tyle razy pisać? Po dwa, po trzy, po pięć razy, jeden i ten sam recenzent! Ale bo też nie ludzmy się, recenzji się nie pisze o sztuce. O „Dulskiej” jako o utworze dramatycznym rozprawiają historycy literatury, różni teoretycy i poloniści. Recenzent zaś traktuje o czym innym. O naszym chwilowym, przejściowym, dzisiejszym stosunku do sztuki. O tym, co nas w danym momencie najbardziej w niej uderza. A uderza nas zawsze najbardziej to, nad czym się właśnie głowimy, to, czego nie możemy rozwiązać, zatem pod płaszczykiem recenzji wszystkie nasze problemy dnia. Uderz w sztukę, one się odezwa. W im lepsza uderzysz, tym zadzwieczą ci one ciekawiej. Wszystkimi, dwoma wierzeniami i wrażliwościami moralnymi, obciążowaliśmy, intelektualnymi, życiowymi czy politycznymi. Jakaś wybornie można by tę czyn uplastyczyć z pomocą zbioru recenzji, właśnie przypuszczać z takiej Dulskiej od czasów jej premiery w 1907. Byłoby to ciekawy przegląd sądów artystycznych. O to zresztą mniejsza. Bo najważniejsze, że rewiacyjny przegląd kolejnych punktów widzenia, zmagających się aktualności, wykres krzywej zafakawień. Przebiegamy galopem przez taki wyfantazjowany sobie zbiór. Czym szeleszcza jego karty sprzed tamtej wojny? Niepokojem, że na moralności mieszczańskiej występują skazy, zdziwieniem, że ona się wikała w sprzecznościach. A po wielkiej wojnie? Moralność moralnością, ale głównie pobrzmiwać będą nowe recenzje z „Dulskiej” oburzeniem na ucisk, jaki zadaje życiu mieszczańskiemu obyczaj. Tu odezwie się Boy. A dziś? Rzecz to obojętna, w jakim stopniu system moralny mieszczaństwa pozwala się członkowi wyżyć. Ani do alarmów, że coś niedobrze tutaj z moralnością, nie potrafimy nasilić naszego głosu, ani nagłać naszego zaciekania do rozmyślań, ile też świat mieszczański dozwala wolności i dowolności w wyższym się swoim synkom. Dla najlepszej współczesnej myśli poradzić się podobna troska, to byłby intelektualny megaloman. Naszą ciekawość zajadła „Dulską” zupełnie od innego boku. Pod, że tak powiem, żebro socjologiczne.

Oto jest — proszę spojrzeć — pani mieszczańskiego domu zaledwie po stu latach od rewolucji francuskiej. A jej maż to mieszczański w sto lat po Balzaku. Ileż drogi ubiegł tak przedko ci państwo! Tam świat, tu egzekwie, bo czyż Dulskich nie czuć już trupem? Czemuz tak błyskawicznie po wroście przyszedł upadek? Przecież poprzednia klasa światowa — szlachta, arystokracja — panowała nad globem lekko licząc do kilkuset lat. A ta? Oto załadnienie nowe. „Dulska” wzięta na spytki socjologiczne. Jej to sprawa? Nie! Nasza! Dzisiejsza. Centralna sprawa współczesnego dnia.

Nuż w nią głębiej! Jeszcze mamy do końca trochę wierszy. Tyłc, żeby wyznaczyć przynajmniej najbardziej ogólne kierunkowe. A zatem? Czym wytłumaczyć sobie krótkotrwałość panowania mieszczaństwa? Czemu ta klasa utraciła swój dynamizm tak błyskawicznie? Czemu to, ledwo że wywołana spod zwierzchności arystokracji, tylko patrzeć, jak ustąpił rządu warstwom nowym, idącym ku górze. Cóż takiego mieszczaństwu nie dopisało? Jego doktryna! To mianowicie, co uzasadniało jego władzę. Bo weźmy. Wszelka warstwa, która kolejno zagarnia rząd i autorytet, czyni to zawsze z pomocą jakiegoś naczelnego atutu gospodarczego oraz jakiegoś naczelnego atutu intelektualnego. Warstwy wyższe sprzed wielkiej rewolucji miały w reku ziemię, a w ustach katolicyzm. Dwa naraz działające narzędzia, jedno z dziedzinny materii, drugie z dziedzinny myśli. Jedno na siłę, drugie na rozum. Jedno dla przynusu, drugie dla perswazji. Z czym rusza po zdobycie władzy warstwa chłopsko-robotnicza? Z pracą tak jako walorem gospodarczym i z doktryną socjalizmu jako walorem dla myśli. Tanc mieli ziemię i — Chrystusa ci mała praca fizyczna i — Marxa. A coż posiada mieszczaństwo? Jej narzędzie gospodarcze jest potężne — to kapitał, pieniądź! A doktryna? A myślenie? To tak zwane „myślenie demoliberalne”. Jedno o nim pewnie, że nie jest systemem myśli dynamizującym. Gdzież mu tam do pedzenia ludzi na wyprawy krzyżowe! Gdzież mu do wpedzania umyśłów w zapalczywość scholastyczne! A to najlepsze sprawdziany tegości

każdej doktryny. Podczas powrotnej drogi z jakiejś wyprawy, chętnego znajdziesz w myśli liberalnej towarzysza. To owsem! I w uwalnianiu się spod ferul przekonań — również! Ale nie w chwili koncentracji sił czy wierzeń. Dlatego klasa, która poślibia to wzywanie, tak przedko straciła swoje. Wpierw padła jej moralność nieczym nie podtrzymywana, potem jej władza pobudowana na fundamentach nazbyt chłodnych.

Kiedy wyruszą do teatru nie na plechotę ale tramwajem, zabieram z sobą metr podróży. I nie wyrzucam sobie tego, że przy ocenie przedstawień stosuję miarę względna, gdyż biorę pod uwagę różnorodną sytuację poszczególnych teatrów, różnicę w ich możliwościach i różnicę w ich przeznaczeniach. Teatr im. Słowackiego czy „Teatr Stary” rozporządzają dobytkiem gwiazdatorów, dyrektorami, którzy są wybornymi plastykami. Gdyby więc np. teatr „Słowackiego” zawiądził na spektaklu w którejś z naczelnych kreacji, libiołoby mu się to za grube zło, tak samo, jak na przykład grzechem śmiertelnym było by, gdyby „Teatr Stary”, pod panowaniem wielkiego mistrza Andrzeja Pronaszki, nawalił kiedyś w dekoracjach. A teraz wgląd na specjalizacje przeznaczeń? „Słowacki”, to niby nasza Comédie Française, „Stary” to teatr, jeżeli już nie eksperymentu, to przynajmniej nowości, jeżeli nie awangardy, to choćby awanpostu. A taki „Powszechny”? Po prostu owija we własne opakowanie to, co dziś czy kiedyś ten czy inny teatr wymyślił, i rzuca to w największy tłum.

Ale na ostatnim przedstawieniu „Moralności pani Dulskiej” w „Powszechnym” przedko się przekonałem, że wzięciem miarkę podróżną zbyt cieżko. Spektakl był wyborny w sposób bezwzględny. Wyborny, inteligentny, o doskonałym tempie i ładnej grze. W Dulskiej wystąpiła H. Rozwadowska. Trudna gra! Bo wszystko w niej pcha do karykatury, do groteski, a wtemczas przepada dramat! Rozwadowska, (acz nie bez pewnych wyskoków na początku), dopłynęła na swej Dulskiej aż do końca sztuki nie odbierając nam przekonania, że mimo wszystko jest ludzka istota, a nie sama czysta jedzą. Znamienitym Felicjanem Dulskim był Leon Wyrycz. Maskę miał pyszną, tabes jednak za daleko posunięty. Hesia (Tyliczyńska) i Mela (Grzebska) bardzo dobre i doskonale dobrane jako siostryzyczki. Janina Jabłońska, o przeszlizniętych warunkach na Hanke — świetna. W roli lokatorki wystąpiła Elżbieta Osterwianka. Głos ojca, w twarzy coś z ojca, wzrost ojca. Tylko gra własna, ale — udana. W roli Tadrachowej — Z. Wirska. Zaś w roli Juliasiewiczowej — J. Morska poza burta całości przedstawienia.

Reżyserował spektakl Roman Zawistowski, który zarazem wykonywał Zbyszka. Reżyser dobry. Zbyszek jeszcze lepszy. Szczeniacki, arogancki, zespuły, ale po wierchu, gnany gdzieś hen! ale nie dalej niż najbliższy zamtu.

Dekoracje K. Gajewskiego, naturalistyczne, lecz za prawdziwe, żeby były teatralnie dobre, ponieważ większość widzów gotowa je wziąć na serio.

Tadeusz Breza

## KORESPONDENCJA

A JEDNAK „KRÓL DUCHÓW”  
Do redaktora „Odrodzenia”

Odpowiadam na cenne wywody prof. Adama Kleczkowskiego w sprawie przekładu wyrazu „Erlkönig” („Odrodzenie”, nr 51) z zastrzeżeniem, że nie traktuję swej odpowiedzi jako polemiki, — trudno bowiem polemizować na temat etymologii, na której się nie znam; nie dziw więc, że pobalamucielem wyrazi „erl” i „erl”. Ale tu idzie o co innego. Czy ostatecznie ma być: „Król oich” czy „Król duchów”?

Sprawę rozstrzygnął specjalista tej miary, co Friedrich Ranke, autor monografii „Die deutschen Volkssagen”, 1910, II wyd. 1923 który w artykule „Erlkönig”, opracowanym dla bardzo poważnego, wielotomowego wydawnictwa „Handwörterbuch des deutschen Aberglaubens”, 1925, tom II. 924/5, tak mówi: „Erlkönig, postać znana z ballady Goethego, zawiązuje swe powstanie nieporozumieniu („Missverständnis”) Herdera, który w drugim tomie swego zbioru „Piesni ludowych” 1779 duńskie „Erlkong” w oparciu o dolnoniemieckie „Erl”, Erl = olcha, przełumaczył jako „Erlkönig” (tj. Król oich). Ze zbioru Herdera wziął Goethe ten wyraz do swojej ballady. 1792”.

A więc: „nieporozumienie”! Ma być zatem: „Król duchów”.

Józef Reiss (Kraków)